MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 20. WARSZAWA, 30 KWIETNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

O PAŃSTWIE POLICYJNEM

W NR. 18 „Myśli Narodowej“ p. R. Piestrzyński, w artykule p. t. „Reakcja ustrojowa kierunku narodowego“, podkreśla bardzo trafnie przeciwieństwo, które istnieje między dążeniami kierunku narodowego a t. zw. państwem policyjnem. Kierunek narodowy nie znajdzie swojego wyrazu zarówno w państwie, opartem na czysto demokratyczno - liberalnych zasadach, jak i w absolutyźmie państwowym. Krytyka liberalizmu nie prowadzi automatycznie do tego, by każdy ustrój, który powstaje na gruzach państwa liberalnego, uważać za wyraz narodowego ustroju. „Zasadniczym celem kierunku narodowego“ — pisze p. Piestrzyński — „jest utrzymanie więzi i spoistości narodowej. Kierunek narodowy zwalcza przedewszystkiem wszelki rozkład: rozkład państwowy, jak i społeczny, rozkład materjalny, jak i moralny“...

Zagadnienie państwa policyjnego zasługuje na głębszą analizę dlatego, że czasami, gdy widzi się w niem tylko reakcję przeciw dawnemu ustrojowi parlamentarnemu, zapomina się o niebezpieczeństwach, które państwo policyjne przynosi z sobą. Łatwo można popaść w błędny pogląd, upatrujący w ustrojach, które są przejawem obecnego chaosu, wyrazy pozytywne nowego, narodowego ustroju. A tymczasem, jeżeli się widzi w idei praw jednostki założenie, przeciwne podstawom kierunku narodowego, to również życie państwa policyjnego może przybrać postaci, które są w jaskrawej sprzeczności z tym kierunkiem, które osłabiają i niszczą pierwiastki życia narodowego.

Państwo policyjne, czy też absolutyzm państwowy (mniejsza o nazwę), może przybierać najrozmaitsze postaci; to forma, która może być wypełniona różnorodną treścią. W państwie takiem istnieje nieograniczona niczem wszechwładza aparatu rządzącego, od którego zależne jest jednostronnie całe życie ludności. Wyraża się to państwo w braku, względnie słabości instytucyj, istniejących niezależnie od woli i decyzji władzy wykonawczej, w braku równowagi władz naczelnych i w niedostatku kontroli nad rządzącemi organami. Takie państwo może być w rękach różnych czynników: monarchji z bożej łaski, jednostki, grupy okupantów, może być narzędziem dyktatury proletarjatu lub kapitału. Może służyć celom własnego nardu, jak i celom międzynarodowej organizacji. Być narzędziem walki z wpływami żydowskiemi, jak również służyć panowaniu żydowskiemu nad rodzimą, osiadłą ludnością. Bolszewizm stworzył *sui generis* państwo policyjne; wyraźnie policyjny charakter miało państwo Jezuitów w Paragwaju, które miało być narzędziem utrwalenia religji katolickiej wśród Indjan; inny znowu typ przedstawiały państwa policyjne epoki oświeconego absolutyzmu.

Kierunek narodowy zasadniczo nie uznaje dogmatów ustrojowych. Uważa za dobry każdy ustrój, który daje pełny wyraz dziejowej twórczości narodu, jego potędze duchowej i materjalnej. Forma państwa jest dla narodu narzędziem, służącem do urzeczywistnienia jego historycznych przeznaczeń. Cel jest zawsze ten sam, narzędzia można zmie-

niać. Czyżby więc nie nadawała się organizacja państwa policyjnego do tego, by w danych warunkach, przy jego pomocy, urzeczywistniać ideę narodu?

Niepodobna jednak oddzielić formy od treści; narzędzie, którem się posługujemy, ze swej strony urabia zbiorową psychikę, oddziaływa na cele, które się chce przy jego pomocy osiągnąć. Aparat państwa policyjnego może dawać doraźne korzyści, ułatwiać radykalne rozstrzygnięcia także i w duchu narodowym, ale nie wolno tracić z oczu jego głębszych, wychowawczych wpływów.

Narodowe państwo policyjne — jeżeli mamy użyć tego terminu — będzie oznaczało rządy dla narodu, bez narodu i wbrew niemu. Wynika z tego, że ten system wtedy tylko, teoretycznie biorąc, może być zastosowany, gdy naród jest niedojrzały, gdy niema instytucyj, w których się jego duch wcielił, gdy trzeba go dopiero od podstaw organizować, nie licząc się z dziedzictwem przeszłości. Państwo policyjne traktuje społeczeństwo jako bierną, plastyczną masę. Narzuca mu formy i treść życia. Państwo policyjne jest mocne kosztem wszystkiego, co jest poza aparatem rządzącym. Ten aparat rozrasta się, a wszystko inne cierpi na uwiąd. siła państwa staje się identyczną z siłą rządu, podstawy bytu państwowego są ściśle związane z jego losami. A tymczasem, jak słusznie pisze p. R. Piestrzyński, „do istoty kierunku narodowego należy budowanie tej siły od dołu, a nietylko od góry. Przez mocne zorganizowanie komórek życia społecznego — rodziny, zrzeszeń, samorządu — do silnego państwa".

Jeżeli się chce rządzić systemem policyjnym, to bierze się za punkt wyjścia niewiarę naród. Niema oczywiście państwa bez przymusu, zupełna wolność oznacza anarchję. Ale tam, gdzie naród jest mocno zorganizowany, gdzie różne pierwiastki jego organizacji umieją żyć własnem życiem, tam wiele zadań życia zbiorowego może być spełnianych bez stosowania przymusu przez naczelną władzę wykonawczą. Wtedy samorząd terytorjalny czy szkół akademickich, niezależne sądy, różne związki społeczne, dobrowolne zrzeszenia i t. d. są wyrazem bogactwa życia narodowego i źródłem trwałej siły państwa.

Kierunki narodowe są przeciwne skrajnemu indywidualizmowi, nie biorą za punkt wyjścia praw jednostki. W państwie policyjnem jednostka nie ma praw — ma tylko obowiązki i korzyści, które jej daje opiekuńcze państwo. Ale nie w tem tylko wyraża się urzeczywistnianie państwa policyjnego. W praktyce wyraża się ono w tem, że państwo policyjne odbiera samodzielność i własne życie temu wszystkiemu, co było między jednostką a państwem. Państwo policyjne nietylko niszczy parlament, rządy, oparte na woli „większości". Niszczy ono wszelkie instytucje prawne, które ograniczają i kontrolują władzę wykonawczą. Niszczy samorząd we wszystkich postaciach. Ze zrzeszeń społecznych robi narzędzie nacisku policyjnego. Dąży do tego, by z organizacji Kościoła zrobić swój departament administacyjny.

A więc państwo policyjne prowadzi do atomizacji społeczeństwa, czyli do tego samego, co jest punktem wyjścia liberalizmu, jako kierunku społeczno-politycznego. Zostaje na widowni dziejów narodu z jednej strony wszechwładny aparat rządzący — a z drugiej ogromna masa jednostek, nieujętych w żadne, własnem żyjące życiem organizacje, a tylko w karby zewnętrznego przymusu. Gdy ten przymus zanadto da się we znaki, wtedy budzi się reakcja. Nie w imię już dawnych instytucyj, lecz w imię praw jednostki. Z chwilą wybuchu rewolucji francuskiej nie udało się tchnąć życia w dawne Stany Generalne. Były one wówczas tylko wspomnieniem historycznem. Siłą okazała się idea praw człowieka i obywatela. I im więcej epoka absolutyzmu państwowego, epoka państw policyjnych, poczyniła spustoszeń, tem mocniejszą była ta reakcja w imię wolności jednostki. Liberalizm jest naturalnym dziedzicem państwa policyjnego. Bodaj że nawet dziedzicem nieuchronnym, o ile długotrwałe państwo policyjne zdołało zniwelować społeczeństwo, zatracić ciągłość życia tradycyjnych instytucyj narodowych, podciąć żywotność samodzielnych ośrodków życia społecznego.

A przytem, czy zawsze państwo policyjne naprawdę przeciwstawia się podstawowym założeniom liberalizmu? Nie potrzebujemy daleko szukać, a znajdziemy państwo, które, rządzone policyjnie, urzeczywistnia najważniejsze bodaj dziedzictwo liberalnego XIX wieku. Państwo to oczywiście nie uznaje wolności politycznej. W dziedzinie gospodarczej również wolność ogranicza, uzależnia od siebie gospodarstwa jednostek. Pod temi względami nie jest liberalne. Ale równocześnie istnieją bardzo wielkie i ważne sfery życia społecznego, w których jest bardzo dużo wolności.

Jedną z najgłębszych myśli Jerzego Sorela było stwierdzenie, że dla całego ustroju społecznego rozstrzygające znaczenie ma ustrój rodziny i małżeństwa. Pojęcie praw jednostki prowadzi logicznie do podkopania rodziny i nierozerwalności małżeństwa. I oto widzimy, że w kraju, w którym niema wolności politycznej i gospodarczej, równocześnie urzeczywistnia się szybkiemi krokami wolność moralną i... seksualną. Pod opieką czynników rządowych propaguje się świadome macierzyństwo. Pornografja we wszystkich postaciach nie natrafia na surowy bicz cenzury, którym chłosta się prasę polityczną. Projekt prawa małżeńskiego, opracowany przez Komisję Kodyfikacyjną, jest dobrze znany. Wartoby poddać dokładniejszej analizie nowy kodeks karny. Wszelkie przestępstwa „polityczne", groźne dla *regime*'u są surowo karane. A równo-

cześnie z wielkim liberalizmem traktuje się sztuczne poronienia; ten kodeks jest przecież *magna charta libertatum* pewnej kategorji przestępstw seksualnych.

Nie trzeba powierzchownie patrzeć na reakcję przeciw ustrojowi parlamentarnemu, upatrywać w każdym zamachu i rządach na nim opartych jutrzenki nowej ery. A przedewszystkiem należy sobie uświadomić, że wielkie niebezpieczeństwa, zagrażające narodowemu państwu, kryje w sobie także i państwo policyjne. By się od nich uchronić, stworzyć naprawdę narodowy ustrój państwa, nie można poprzestać na samej negacji; nie można entuzjazmować się każdym przewrotem w świecie, lecz trzeba się zdobyć na pozytywny wysiłek umysłowy, który doprowadzi do skrystalizowania idei państwa narodowego i jego ustroju.

ROMAN RYBARSKI

PRZYCZYNY ANTYSEMITYZMU W NIEMCZECH

(Dokończenie)

NAUKA

MEDYCYNA obsadzona przez Żydów i to zarówno profesury na uniwersytetach, jak i praktyka lecznicza. W naukach przyrodniczych coraz więcej Żydów: nie mówi się o Japończyku Hata, ale trąbi się o Ehrlichu, Żydzie; potem idą Meyer, Bamberger, Jakobsohn, Neuburger, Bentheim; w matematyce wszyscy do kosza, bo na wierzchu sam Einstein, roztrąbiony, rozreklamowany, politykę, podróże i wywiady uprawiający. W adwokaturze, już przed wojną, czterdzieści kilka procent Żydów, ogromnie ekspansywnych, ruchliwych, zabiegliwych. W prawie procesowem niemieckiem zauważa się też duży wpływ myśli żydowskiej. Zaczęło się to od Laskera i Bambergera, Żydów, przywódców liberałów i gryndersklch macherów, ci dwaj preparowali różne ustawy akcyjne i bankowe, dzięki którym porobili fortuny wielcy finansiści i handlarze, głównie współwyznawcy.

SZKOLNICTWO

Liczba Żydów, mieszkających w Niemczech, wynosi niecały jeden procent, czyli na stu mieszkańców jeden Żyd. Tymczasem w Prusach na dziesięć tysięcy chrześcian przypadało 61 uczniów, a na Żydów — 385, w Berlinie ten stosunek jest jeszcze niekorzystniejszy. Na dziesięć tysięcy Żydów przypada 31, 77 studentów, a na chrześcijan — studentów 4, 71. Po rewolucji niemieckiej ministrem oświaty został Haenisch, kierownik literacki *„Die Glocke"* osławionego Parvusa. Ten minister oświaty znajdował się na żołdzie Żyda rosyjskiego z Odesy, Izraelewicza, *alias* Helphandta, znanego jako Parvus i mającego mocno zaszarganą przeszłość, bo miljoner ten i wydawca pisma socjalistycznego, podczas wojny światowej był w konszachtach z wywiadem wojskowo-politycznym. Haenisch, minister oświaty, pobierał od Parvusa 12 tysięcy marek rocznie za kierownictwo literackie. Nic dziwnego, że zuchwalstwo żydów doszło do tego stopnia, iż zwrócili się za pośrednictwem jednego ze swych współbraci, niejakiego Kubatzki'ego, do ministerjum oświaty, by w znanej piosence Rueckerta słowo „Żyd" zastąpić innem słowem, np. człowiek albo rozbójnik. Wskutek nacisku interwencyjnego firma wydawnicza zgodziła się w następnem wydaniu wypisów zmienić odpowiednio wierszyk Rueckerta. Z podobnem żądaniem wystąpili Żydzi w Stanach Zjednoczonych przeciwko „Kupcowi Weneckiemu" Szekspira.

OBYCZAJOWOŚĆ, RODZINA

Instytut wiedzy seksualnej założył dr. Magnus Hirschfeld, który rzucał na rynek niemiecki olbrzymie dzieła, sprytnie spreparowane, szerzące pod pozorem naukowości perwersje seksualne i pornografję. Różne firmy wydawnicze żydowskie w Niemczech puszczały w świat olbrzymie tomiska, poświęcone niby to zagadnieniom seksualnym, naukowo rozpatrywanym, ale w gruncie rzeczy pornograficznym, bo gwoździem tych wydawnictw były zawsze portrety, rysunki i wszelkie sceny intymnej strony życia płciowego, podanego w licznych odmianach zboczeń. Robiono na tych wydawnictwach interesy i deprawowano ludność. Tak zwana kultura nagości (*Nacktkultur*) była szerzona i popierana gorliwie przez Żydów, rzekomo ze względów hygjenicznych. Podobnież deprawacja za pomocą słów, gestów i scen w teatrach, kabaretach, dancingach itp. miejscach rozrywkowych. Na tem polu Żydzi są wyjątkowymi deprawatorami, jest to ich właściwość rasowa. Moralne spustoszenie zrobili w Ameryce, a teraz w Niemczech. Ostatnio szerzono przez pisarzy żydowskich i przez literackie pisma żydowskie (np. „*Weltbuehne*") propagandę za pozbawianiem hymenu dziewczynek, na wzór obrzezania. Pamiętać trzeba, że w starożytności Żydzi deflorowali dziewczynki poniżej lat 12, a z prawdziwym wprost sadyzmem używali do pożycia małżeńskiego nawet dzieci, dziewczynki już od trzech lat. Odpowiednie przepisy pożycia małżeńskiego z temi nieletniemi dziewczynkami, a nawet dziećmi znajdują się w Misznie, religijnej księdze żydowskiej. Psycho-analiza Freuda, która zresztą spotkała się z ostrą krytyką psychologów szwajcarskich, francuskich, amerykańskich, a nawet i niemieckich jest w gruncie rzeczy teorją czysto żydowską, antychrześcijańską, wymierzoną w podstawy organizacyjne naszej cywilizacji, opartej na więzach rodzinnych i uczuciu miłości rodzicielskiej. Freudyzm życie duchowe wyprowadza z instynktów seksualnych, różne stany ducha tłumaczy łatwo tym czy innym kompleksem erotycznym lub analnym. Jest to cecha żydowska, że nawet uwzniośla przez splugawienie. Zastanawiający jest ten wielki procent psychologów czy lekarzy Żydów, wyznawców freudyzmu.

Nie mamy potrzeby martwić się specjalnie tem, że w Niemczech zauważa się duży spadek urodzeń, że pod tym względem Niemcy bodaj wyprzedzają już Francję. Ale nie sposób ominąć przy tem faktu znamiennego, mianowicie dużego udziału Żydów w Niemczech, propagujących kontrolę urodzeń, która w gruncie rzeczy sprowadza się, jak i całe świadome macierzyństwo, do zmniejszenia liczby ludności.

WNIOSKI

Żydzi bezwątpienia oddali wielkie usługi polityce niemieckiej. Oni byli głównymi promotorami kapitalistycznego rozwoju Niemiec. Tacy Żydzi, jak Ballin, Rathenau, Warburg, którzy w swoich rękach koncentrowali władzę nad rynkiem i życiem ekonomicznem Niemiec, byli jednym z główniejszych czynników imperjalizmu niemieckiego; oni też przez swoje ścisłe stosunki z kapitałem międzynarodowym, zwłaszcza anglosaskim, torowali drogę ekspansji i polityce niemieckiej. Znów inni Żydzi, przez wpływ w partjach socjalistycznych i radykalnych, prowadzili wielką grę polityczną *pour le roi de Prusse*. W r. 1911, gdy zaczął się komplikować zatarg polityczny angielsko-niemiecki z powodu Agadiru, wybuchł w Anglji strajk powszechny. Krwawe rozruchy, grabieże sklepów, wojsko użyło broni palnej, organizacje robotnicze angielskie przyjęły postawę zdecydowaną, poruszenie mas było wielkie. A niemieckie socjalistyczne organizacje zawodowe przesyłały strajkującemu proletarjatowi angielskiemu znaczne fundusze na walkę z reakcją, bo przecież... „proletarjusze wszystkich krajów łączcie się". W tym wypadku *pour le roi de Prusse*.

Aczkolwiek centrale żydowsko-masońskie przeniosły się do Londynu i New-Yorku, jednak Niemcy były tym krajem, w którym potęga żydowska rozpostarła się na olbrzymiej przestrzeni, przenikać zaczęła do najdrobniejszych komórek niemieckiego życia narodowego. Nastąpiło zespolenie interesów żydostwa z interesami niemieckiemi, bo właśnie w Niemczech były zaangażowane olbrzymie kapitały żydowskie i ponadto wielki kapitał duchowej ekspansji żydowskiej. Temu przypisać należy taką a nie inną finalizację wojny światowej. Wilson, Lloyd George, Clemenceau otoczeni byli przez Żydów, których presji ulegali. Ci, za kulisami pochowani Żydzi, narzucali warunki pokojowe i korygowali je na rzecz Niemiec. Znów od chwili zawarcia pokoju widzimy wielką pracę żydostwa międzynarodowego, działającego wszystkiemi wpływami w celu uwolnienia Niemiec od ujemnych następstw klauzul traktatowych. W ten sposób działali przedewszystkiem w swoim interesie.

Ale każdy nieuprzedzony obserwator, nawet filosemita, przyznać musi, że ten stan rzeczy dałby się utrzymać w tym tylko wypadku, gdyby wśród Niemców nie przebudziła się poczucie narodowe. Tymczasem: *Gesta Dei per Francos, Rule Britania*, no i oczywiście nigdy nie zamarłe *Deutschland über alles*, a ponieważ Izrael jest narodem wybranym, więc kolizja musiała nastąpić. Żydzi, mimo wszystko, są złymi psychologami. W Niemczech niema ich nawet miljona, na sześćdziesiąt miljonów mieszkańców. Ale obsadzili najważniejsze pozycje, najwybitniejsze stanowiska, wszystkie stacje węzłowe. Po pewnym czasie okazało się, że orkiestra gra według wskazówek dyrygenta, a tym jest Żyd. To drażni. A potem: — to niepokoi. A podrażnienie i niepokój wytwarzają uczucia nieprzyjazne, połączone z obawą. A ten stan prowadzi do nienawiści. Niewątpliwie, Żydzi położyli dużo zasług w interesie Niemiec, położyli ich tak dużo, jak może w interesie żadnego innego kraju. Ale zarazem zajęli w Niemczech takie stanowisko, które zaczęło ludność niemiecką niepokoić i zarazem drażnić. Tadeusz Zieliński, wielki nasz hellenista, wyjaśniając antysemityzm starożytnych, trafnie zauważa: „pamiętajmy przytem, że bodaj jeszcze więcej, niż wielka krzywda, budzą nienawiść pogardliwe i nieprzyjazne stosunki w drobnych sprawach codziennego życia". Otóż Żydzi mają szczególny talent właśnie w tych drobnych sprawach codziennego życia. A było to zawsze i będzie, zdaje się, zawsze, bo to jakaś właściwość rasowa, przekleństwo Jehowy. A że uczucia nacjonalistyczne, w związku z ogólną falą ruchów narodowych po wojnie, w tem i żydowskich, wzrosły w Niemczech, wzrastają coraz bardziej i wzrastać będą, przeto ostry konflikt z Żydami stał się nieunikniony. Ta walka ma przyczyny głębokie, może być łagodzona, odwlekana, przerzucana na inne dziedziny, ale ostatecznej rozprawy uniknąć się nie da. Jest to walka dwu ras o miejsce na ziemi. Żydzi, znajdując się w rozproszeniu (diasporze), więc w szczególnem zaiste położeniu, tem nie mniej stanowią naród, solidarny, duchowo zwarty, ekspansywny, imperjalistyczny, wyposażony w wielkie środki wpływu światowego (finansjera, prasa, masonerja i wpływ na politykę i gospodarstwo wielu rządów itp.), i dążący do zapanowania nie na jednem terytorjum, lecz na całym obszarze świata bez konkurencji. Koncern, to przecież idea żydowska, dlatego tworzą koncerny w najprzeróżniejszych odmianach i w różnych dziedzinach, aby sobie wpływ zapewnić. Imperjalizm żydowski ma podłoże religijne: Izrael, to naród przez Boga wybrany. Dlatego ten imperjalizm jest obdarzony tak potężną siłą ekspansji i nieustępliwej wytrwałości. Wzbudza doprawdy podziw i szacunek. I wielki niepokój.

Każdy woli być na wozie, niż pod wozem. Żydzi, znajdując się w szczególnych i doprawdy wyjątkowych warunkach rozwoju dziejowego, zastosowali również wyjątkowe sposoby w celu utrzymania się, a nawet zdobycia wpływów i panowania.

Kto nie na wozie, ten pod wozem. To ich słuszne prawo. Każdy naród, zmierzający do zachowania swej indywidualności i zagarniający jaknajwięcej dla siebie wpływów, zasługuje na uznanie i szacunek dla swej dzielności, prężności, żywotności. Ale trzeba pamiętać także i o tem, że istnieją prawa fizyczne, według których na jednem i tem samem miejscu może się znajdować tylko jedno ciało. To też, jeżeli instynkt narodowy, dziejowa konieczność i prawo życia zniewala Żydów do sterowania według hasła, że Izrael jest narodem przez Boga wybranym, naturalną jest rzeczą, że nie—Żydzi odpowiedzą prędzej czy później: my, albo oni.

Walka, którą rozpoczęli Niemcy pod przewodem hitlerowców, to nie jest wcale jakaś heca antysemicka. To dziejowa konieczność. Niech nikt nie łudzi się, że jest inaczej. Żydzi, mądrzy Żydzi wiedzą o tem doskonale.

MICHAŁ WIŚNIEWSKI

TRZYDZIESTOLECIE „ELEUSIS"

(GARŚĆ WSPOMNIEŃ I REFLEKSYJ)

W ROKU BIEŻĄCYM mija lat trzydzieści istnienia dziwnego związku, założonego przez prof. Wincentego Lutosławskiego w Krakowie pod imieniem „Eleusis". Z nowego pokolenia już mało kto o niem słyszał, lecz był czas, że imię elsów (tak nazwał prof. L. swych adeptów) był na ustach wszystkich.

Dziś z okazji trzydziestej rocznicy powstania tego towarzystwa pragnę się podzielić z czytelnikami wspomnieniami swemi z osobistego zetknięcia się z założycielem Eleusis i z elsami.

Jako 19-to letni chłopak, po ukończeniu gimnazjum w Mohylowie nad Dnieprem, przybyłem na studja do Krakowa w końcu września 1906 r. Dwaj moi bracia cioteczni, Marjan i Kazimierz Borelowski, uczniowie 7 i 6 kl. gimn. św. Anny, byli członkami Eleusis. Oni to, zwłaszcza starszy Marjan, wtajemniczyli mnie w istotę tego związku. Rychło po przyjeździe do Krakowa byłem na jednem posiedzeniu w lokalu Eleusis w t. zw. Baszcie Batorego (ul. Batorego 1). Aczkolwiek byłem bardzo daleki od wstąpienia do tego związku, jednak wielce mię on zainteresował, to też wkrótce poszedłem na odczyt „samego" Lutosławskiego, co się odbył w sali szkoły realnej przy ul. Studenckiej. O czem L. mówił, dziś już nie pamiętam; dość że wykład był wygłoszony niezwykle podniesionym głosem.

Minęło okrągło dwa lata. Prof. Lutosławskiego nie było w Krakowie. Przez cały ten czas nie robiłem bezpośrednio nic, by się zbliżyć do Eleusis, pośrednio jednak dokonywał się we mnie proces, co musiał mię z konieczności do niego doprowadzić. Pamiętam, jak np. w listopadzie 1906 r., w pokoju przy ul. Gertrudy 7, gdziem mieszkał z kolegami: Mikołajem Łąckim (obecnie d-rem medycyny i inspektorem sanitarnym Warszawy) i Witoldem Staniewiczem (ob. prof. U. S. B., b. ministrem) — z wieczora, nie mogąc zasnąć, doznałem jakby olśnienia: „Życie moje dopiero wtedy się rozwinie, gdy wstąpię do Eleusis" — powiedziałem sobie z całą stanowczością.

Ale fakt ten nastąpił dopiero jesienią r. 1908. Główną przeszkodą był bowiem mój negatywny stosunek do Kościoła, wyniesiony jeszcze ze szkoły rosyjskiej. Musiałem mej chaotycznej jeszcze psychice dać gruntowne podstawy kultury zachodniej, by dojrzeć do Eleusis. W jesieni 1908 Lutosławski znowu przybył do Krakowa (z Ameryki) i wygłaszał znów odczyty. Nacisk kładł na religijność właśnie i oto zrozumiałem z nieodpartą oczywistością, że pomiędzy patrjotyzmem (który był naonczas punktem wyjścia całego mego życia i zeń dopiero mozolnie dedukowałem świat innych pojęć) — a religijnością zachodzi najściślejszy związek. To Lutosławski, z którym odbyłem konferencję, skierował mię do gwardjana o.o. Reformatów, ś. p. Zygmunta Janickiego, który potem był przez lat kilka stałym moim spowiednikiem. To Lutosławski też otworzył moje oczy na wychowawcze znaczenie poezji t. zw. wieszczów, i choć dziś, rzecz oczywista, spoglądam na nich z historycznego punktu widzenia i, wyszedłszy z ich świątyni, oglądam ten gmach także zzewnątrz, jednak nigdy nie zapominam, ile zawdzięczam temu zachwytowi, zaczerpniętemu z tej przeczystej krynicy kultury narodowej.

Trzeci punkt składowy ideologji eleuzyńskiej, po katolicyzmie i „wieszczach", osławiona poczwórna abstynencja, nie przedstawiała dla mnie większej trudności. Zresztą, acz jej w Eleusis najściślej przestrzegano, nie kładziono na nią zbyt wielkiego nacisku.

I oto któregoś tam października 1908 r. Wincenty Lutosławski osobiście mię przyjął w poczet elsów. Otoczyło mię grono, nieliczne zresztą, braci i sióstr.

Jakkolwiek dziś, po ćwierćwieczu przeróżnych doświadczeń, nie mogę, rzecz jasna, nie dostrzegać najprzeróżniejszych składników, co się kryły pod powłoką tego „braterstwa" (ze strony zwłaszcza „sióstr"), to jednak muszę dać świadectwo prawdzie. Zasadniczy ten Eleusis był czysty, wzniosły, mężny, naogół wolny od pobudek osobistych, gorejący najjaśniejszym patrjotyzmem i najżarliwszą religijnością. Nieprzymuszone, przyjacielskie obcowanie, wesołe i naturalne rozmowy, przechadzki, wycieczki i zebrania, poświęcone analizie Pisma Św. oraz pism „wieszczów", wspólne przystępowanie do Stołu Pańskiego i rekolekcje zbiorowe, nieco później kierowanie harcerstwem, wizytacje rozmaitych bliższych i dalszych ognisk Eleusis, prowadzenie kursów robotniczych, ożywiona korespondencja, zapoczątkowanie wydawnictw („Genezis z Ducha", „Księgi" Mickiewicza, sześć tomików — roczników Eleusis, t. zw. listy okrężne) — oto były formy apostołowania t. zw. „Sprawy", opierające się zresztą przedewszystkiem na indywidualnem urabianiu własnych dusz.

Wszystko to czyniło z elsów prawych następców filomatów i filaretów wileńskich, oraz towiańczyków, które to dziedzictwa były przez nas świadomie przyjmowane. *Eleutheroi laon Sotheres* — wolni wybawicielami ludów, oto było hasło Eleusis.

Słowem, była to mała gmina chrześcijańska, stawiająca sobie cele oczywiście ponad siły, ale łańcuch owych prac codziennych jakże często miał zdecydować o kierunku całego życia niejednego z nas!

Nad całokształtem pracy bezwzględnie górowała silna indywidualność prof. Lutosławskiego, który jednak z biegiem czasu celowo począł ograniczać swą ingerencję w życie stowarzyszenia, sam nazywał siebie tylko „inicjatorem" (nigdy — kierownikiem), i w tej tylko roli był znany ogółowi członków Eleusis, którzy go, w miarę rozwoju organizacji, najczęściej już nie znali osobiście. Prof. L. wielokrotnie powtarzał, że najwyższą jego ambicją jest „wyzwolenie" nas od siebie i za główną zasługę Towiańskiego poczytywał to właśnie, że naczelni jego uczniowie, Słowacki, Mickiewicz i Goszczyński — wyzwolili się odeń całkowicie. Pamiętam, na pierwszem zebraniu, gdy nie byłem jeszcze elsem, uderzyły mię szczególnie słowa prof. L-go, który, po dłuższej niebytności w Krakowie, świeżo wróciwszy z Ameryki, tak przemówił do swych uczniów:

„Jam dość już chyba gadał,
By siłę chóru znać,
By chór mi odpowiadał".

Na tej też podstawie ułożył się od pierwszej chwili mój stosunek do „Lutosa", jak myśmy na-

zywali prof. L. Było to poczucie konieczności godzenia wysokiej czci i wdzięczności, które dlań żywiłem, z zupełną niepodległością duchową. Stosunek ten do Lutosławskiego przeszedł na traktowanie przeze mnie wszystkich wyższych osobistości, (ba, wszelkich zjawisk bytu), jednocześnie z należną czcią i z bacznym krytycyzmem; jedno drugie wzajemnie wspierało, ożywiało i ugruntowywało. Sądziłem zawsze i sądzę, że ślepe oddanie się komuś lub czemuś jest dowodem ubóstwa strony biorącej, jako też dającej, że panegiryk jest największą obelgą i krzywdą zarazem, wyświadczaną czczonej przez nas osobie.

Z istoty rzeczy, z samego typu swej umysłowości, Lutosławski nie wtrącał się do organizacji, utrzymując tylko osobiste stosunki z poszczególnymi elsami. Duszą towarzystwa, jako całości organizacyjnej, był najbardziej przez nas wszystkich kochany, Tadeusz Strumiłło, zwany stale Dębem. Należał on już, prawda, do drugiej generacji elsów, lecz ja pierwszej prawie nie znałem. Trzeba bowiem wiedzieć, że już koło r. 1908 z najdawniejszych elsów nikt prawie w towarzystwie nie pozostał. Na pierwszem, uroczystem i wielce głośnem swego czasu, posiedzeniu w Sali Teatru Ludowego przy ul. Rajskiej dnia 22 stycznia 1903, zapisała się do Eleusis moc osób, z których jeno parę najwybitniejszych, jak Szczęsny Turowski, Stansław Witkowski, Zygmunt Podgórski, poznałem potem, ale żaden z nich już nie odgrywał w towarzystwie roli kierowniczej.

Natomiast takie właśnie znaczenie, przez czas dłuższy bezkonkurencyjne, posiadał Dąb. Nadzwyczaj miły, prosty i szczery charakter zjednywał mu naprawo i nalewo przyjaciół. Posiadał on wykształcenie niepospolite: ukończył studjum rolnicze, był utalentowanym muzykiem (przepadał zwłaszcza za Wagnerem) i znawcą sztuk plastycznych, orjentował się doskonale w literaturze polskiej, władał swobodnie kilkunastu językami, odbywał dogłębne studja filozoficzne, pracując zwłaszcza w *British Museum* nad Platonem, ale przedtem także nad Nietzschem, zwiedzał niejednokrotnie całą Europę. Był także gorliwym Sodalisem. Cechowało go wielkie obycie towarzyskie, połączone z ujmującą uprzejmością i prostotą. Był on w dodatku dość zamożny, gdyż rodzice jego posiadali o 2 mile od Krakowa majątek ziemski (już w Królestwie, koło Michałowic). Wszystkie te okoliczności ułatwiały mu znakomicie działalność organizacyjną, to też nie było środowiska Eleusis, któregoby Dąb nie znał osobiście i nie zwizytował. Zwłaszcza w czasach późniejszych, gdy, po śmierci Małkowskiego, kierował harcerstwem polskiem, zwiedził on literalnie całą Polskę. (Obecnie jest profesorem Instytutu Pedagogicznego w Katowicach).

Ale i środowisk Eleusis z biegiem czasu namnożyło się sporo.

Więc prócz Krakowa, który był ośrodkiem całego ruchu, powstały ogniska we Lwowie, Przemyślu, Samborze, Jaśle, Rudkach, w kilkunastu miastach Górnego Śląska, w różnych punktach Westfalji, w Warszawie, Poznaniu, Wilnie, Berdyczowie, słowem wszędzie tam, gdzie znalazła się chociażby jedna ruchliwsza jednostka, niepozbawiona inicjatywy. Ogółem przez Eleusis przeszło do tysiąca osób.

Przez bardzo długi czas centrum całego ruchu było, powtarzam, w Krakowie. Prócz Dęba rej w nim wodziło kilka wybitnych jednostek. Dwie zwłaszcza z nich przykuwają uwagę. Są to: Adam Wodziczko, obecnie prof. Uniw. w Poznaniu, oraz znany uczony polonista, Stanisław Pigoń, późniejszy Rektor U.S.B. Wdzięk przyrodzony i delikatność uczuć oraz słodycz charakteru pierwszego, jakoteż gorąca żarliwość oraz dążność do pogłębiania problematów życiowych drugiego z nich — to były te wartości, wzajemnie się dopełniające, które obok wpływu Dęba, decydowały o kolorycie życia duchowego grona krakowskiego.

Dalej wymieniam co najwybitniejszych elsów. Do najstarszych należeli przedewszystkiem, Roman Zając-Gierczyński, cichy, miły i łagodny, nieco starszy od nas wszystkich (obecnie prof. gimn. w Poznaniu); Jadwiga Głębocka; Wanda Peszyńska; stolarz Ligęza, (znany model obrazu Malczewskiego), człek już starszy; robotnicy: Edward Rybarz, Jan Przybyła-Sierakowski, Stanisław Pieniężny; Witold Fusek, dziś aptekarz w Bieczu: Jan Marjan Dobrowolski, prof. Uniw. w Poznaniu; Karol Kurtzmann, wreszcie księża: Matus, Długosz, Mieszkowski, Janowicz, Szmyd.

Śród nieco młodszych wyróżniali się: Józef Kostrzewski, zwany Wielkim Eleuterykiem, dziś prof. Uniw. w Poznaniu; Kazimierz Łuczewski, zwany Spinozą (dziś em. wizytator w Poznaniu); Marja Drozdówna, nauczycielka, pierwsza kobieta — radna w Radzie Miejskiej w Tarnowie; Romana Wodziczkówna; Stanisław Dedio, dziś prof. gimn. w Poznaniu; Stefan Sacha, teraz poseł i redaktor „Słowa Pomorskiego"; Kazimierz Pieracki, obecnie w.-minister W. R. i O. P.; Andrzej Małkowski, twórca polskiego skautingu (utonął na Adrjatyku w r. 1918); jego małżonka, Olga, z domu Drahanowska; dwaj bracia Seydlitzowie; Jerzy Grodyński, wielce przez wszystkich kochany, poległ w obronie Lwowa w roku 1918; Ignacy Kozielewski, znany pisarz, obecnie prof. gimn. O.O. Marjanów na Bielanach, Ludwik Posadzy, bibljotekarz w Poznaniu; Jan Jachowski, księgarz tamże; Jan Kaczor, piekarz w Westfalji; Stanisław Szymański, b. poseł, bankowiec z Jasła; Karol Kosiński, dziś uczony lekarz w Wilnie; Stanisława Niemcówna, naucz. gimn. w Krakowie, autorka znanych podręczników; Stanisław Winiarz (poległ w wojnie światowej).

Nieco późniejszy narybek tworzyli: Józef Komenda, pracownik w Rapperswilu; Jędrzej Cierniak, wizytator w M. W. R. i O. P.; Stanisław Dippel, teoretyk kooperacji; Jadwiga Perkowska, przeł. seminar.; Jadwiga Chomiczówna, przeł. gimn.; Kazimierz Żórawski, inżynier, Seweryn Grabianka; Feliks Niekrasz, inżynier w Toruniu, i jego siostry, Leokadja i Sabina; Franciszek Pększyc, (poległ w Legjonach pod imieniem Grudzińskiego); Jan Lachowicz, dziś prof. Instytutu Handlowego w Wilnie; Mikołaj Skiba, księgarz w Szamotułach; Luna Drexlerówna, artystka-rzeźbiarka; Mech, później dr. med. i znany działacz narodowy w Nowym Targu; Kazimierz Morris i wielu innych.

Eleusis utrzymywało dość bliskie związki z organizacjami pokrewnemi. Były to: grupa „Prądu" w Warszawie, kierowana przez Tad. Błażejewicza, A. Szymańskiego, A. Chacińskiego, Z. Fedorowicza i in. oraz organizacja „Wyzwolenie" w Wilnie, założona przez Józefa Zmi-

trowicza, b. posła na Sejm, obecnie adwokata w Wilnie.

Poczęści w związku z temi organizacjami elsowie urządzali t. zw. filareckie Sejmy. Pierwszy się odbył w lipcu 1910 r. w Kosowie. Mieszkaliśmy w willi d-ra Klonowskiego, ale wszystkie obrady odbywaliśmy w parku d-ra Tarnowskiego. Pomiędzy innemi urządzili elsowie informacyjne zgromadzenie dla gości zakładowych, na którem zabierał też głos Roman Dmowski. Niestety, nie byłem już na tem posiedzeniu obecny.

Na tym pierwszym „Sejmie", którego pamiętnik został wydany w r. 1911, jako szósty tomik „Eleusis", było obecnych dwadzieścia parę osób. „Pamiętnik" ten wywołał, niestety, ostre starcie pomiędzy prof. Lutosławskim a elsami.

Było to tak.

Po przepisaniu kilkunastu referatów, wygłoszonych na „Sejmie", ostateczne ich przygotowanie do druku powierzone zostało Strumille i mnie. Drukowaliśmy „pamiętnik" we Lwowie, w lecie 1911 r. Otóż w referacie Dęba znalazł się taki *passus:*

„Stwierdzić musimy wyraźnie, że jako organizacja, nie jesteśmy w żadnej od niego (t. zn. od prof. Lutosławskiego) zależności i nie jest on ani naszym kierownikiem, ani wodzem, ani nawet członkiem Eleusis. Jako inicjator musiał zaciążyć w pierwszych latach istnienia towarzystwa nad jego rozwojem, ale choć wciąż utrzymuje ścisłe stosunki z niektórymi elsami, obecnie faktycznie coraz luźniej i słabiej, — tylko pośrednio wpływać może na kierunek naszej pracy i charakter naszych poglądów" (str. 45 — 46).

Jedną z korekt drukującej się książki posyłaliśmy stale także prof. Lutosławskiemu do Warszawy. Na kartce z powyższym tekstem, prof. L. własnoręcznie dopisał: „...bo celem jego było zawsze wyzwalanie w uczniach samodzielności i niezależności".

Któż mógł przypuścić, że jednak na tem właśnie tle powstanie konflikt, co doprowadzi ostatecznie do rozłamu w Eleusis, i do zerwania przez prof. L. stosunków z tymi elsami, co stanęli konsekwentnie na stanowisku, sformułowanem w punkcie powyższym, stanowisku, odpowiadającem przecie woli tylekroć wypowiadanej przez samego Inicjatora, i tradycji, jak o tem piszę na początku tego szkicu!

Konflikt wybuchł na drugim „Sejmie", odbytym w Żółkowie pod Jasłem w lecie 1912 r. Odbył się on w gronie 110 uczestników ze wszystkich gron Eleusis[1]). Prof. Lutosławski zerwał z elsami, oderwawszy do organizacji kilkunastu członków, bardziej osobiście z nim związanych, zaczął odżegnywać się od Eleusis i tworzyć przelotne ugrupowania: t. zw. Kowali, Koło Mickiewicza i t. p.

Od tego też czasu datuje się, niestety, początek upadku Towarzystwa. Wprawdzie w r. 1913 odbyto „sejm" trzeci, w willi „na Gróniku" („pod Krzyżem", „u Dziadusia"), na drodze z Zakopanego do Kościelisk (uczestników przeszło 30), zaś w r. 1914 planowano czwarty „Sejm" na Bukowinie pod Zakopanem — Eleusis jednak już pełnem życiem nie odżyło.

Wojna i czasy powojenne unaoczniły piszącemu te słowa całą niedostateczność ideologji Eleusis, opartej wyraźnie na indywidualistycznych, i tylko takich, założeniach. Siła i moc społeczeństw nie polega bowiem jedynie na wartości osobników je składających, lecz także, w stopniu może nawet większym, na ogniwach łącznych, na cemencie, spajającym te cegiełki poszczególne, na wartościach społecznych, słowem. Społeczeństwo — to coś więcej niż suma jednostek. Można doskonale sobie wyobrazić społeczeństwo, złożone z lepszych etycznie jednostek, które jednak, jako społeczeństwo, będzie słabsze od innego, na które się składają jednostki stosunkowo gorsze, ale silniej ze sobą powiązane, przy pomocy elementów politycznych, ekonomicznych i wogóle społecznych. Pod względem moralnym Polak napewno góruje nad Niemcem, a i Francuzowi może nie ustąpi, lecz tamci tworzą organizmy zbiorowe silniejsze. W szczególności lekceważenie przez elsów polityki zemściło się na nich podczas wojny i po niej. Rozbieżności w ustosunkowaniu się np. do zamachu majowego i do sprawy brzeskiej najlepiej wykazały, że poza kulturą etyczną potrzebna jest kultura polityczna, która w Eleusis była zawsze poniżej zera.

Pomimo to, sądzę, że Eleusis odegrało w życiu polskiem rolę ciekawą i naogół dodatnią, będąc bodaj ostatnią próbą dźwignięcia Polski na podstawie li tylko moralnej. Gdy dziś w Polsce te właśnie wartości są najbardziej zlekceważone, warto się może namyśleć, co ze spuścizny Eleusis należy uczcić, do życia powołać i na chleb zemleć powszedni.

STANISŁAW CYWIŃSKI

[1]) Gośćmi naszymi byli tam: x. Kazimierz Lutosławski, który codzień przez cały czas obrad odprawiał dla uczestników „sejmu", w specjalnej kaplicy, Mszę św., oraz prof. M. Zdziechowski i x. Jan Ciemniewski ze Lwowa.

NARKOTYKI

JEŻELI w piśmie literackiem daje się recenzję książki hygienicznej, to dlatego, że ma ona wartość literacką i zawiera momenty ciekawe dla literatów, artystów, intelektualistów. Jest to rzecz doświadczalna o tragizmie[1]).

Na miano sytuacji tragicznej zasługuje ta niewątpliwie, w której działa antynomja niebezpieczeństwa i ratunku. Niebezpieczeństwo woła o ratunek, a ratunek potęguje niebezpieczeństwo. Co wtedy robić? (Bywa coprawda i ratunek prawdziwy: Przez rozerwanie systemu, przez tytaniczny skok boczny — ale tu znów tak straszliwe tak lub nie woli, że sytuacja jest też tragiczną, w innym znów sensie. Klasyczne to przeżycie moralne, opanowanie pokusy).

Otóż w książce Witkiewicza i towarzyszy znajduję doskonałe przykłady na tę koncepcję tragizmu. Oto mamy, w plastycznych i wstrząsających obrazach odmalowane, kłamstwo narkotyków. Oto naprzykład Morfina: Przy pierwszych dozach przenosi człowieka w świat niesłychany, iście rajski. Co się stało? Oto, ni mniej ni więcej, tylko zniknęło zło! Cały świat stał

[1]) S. I. Witkiewicz. Nikotyna, Alkohol, Kokaina, Peyotl, Morfina, Eter, Appendix. 1932. Warszawa, bez podania nakładcy. (Rozdz. o eterze przez dr. Dezyderego Prokopowicza, o morfinie przez Bohd. Filipowskiego).

się błogosławioną sferą, w której zła niema — „pod jedną postacią“: niema już ani „cierpienia rozmaitego rozmiaru i gatunku, strapienia i obawy, złość ludzka i okrucieństwo świata, wrogość tysięcy elementów, jakie nas otaczają, wszystko to rozpłynęło się... Jesteśmy mili całemu światu, a świat sprawia nam radość samem swem istnieniem“. Co więcej, rodzą się w człowieku myśli, które — (więcej niż to jest przy innych narkotykach, w których zdobyte rzekomo niesłychane walory myślowe, okazują się na trzeźwo złudą) — nawet i później, po otrzeźwieniu zachowują swoją wartość. I tu właśnie najgorsze niebezpieczeństwo morfiny: Niebezpieczeństwo zbliża się skrycie, nie objawia się rychło, w przedniej straży idą faktyczne walory. Niestety, i tu maleńkie „ale“: te pierwsze, niesłychane wrażenia prędko tracą na nasileniu, bledną... A żal ich. Trzeba jednak tylko nieznacznie całkiem zwiększyć dawkę — a powrócą w całej intensywności. Mijają miesiące, dawki są już w porównaniu z pierwszą olbrzymie,— „jakichby słoń nie wytrzymał” — a tu jakoś nie znać jeszcze niczego okropnego. Przychodzi atoli refleksja, możeby jednak raz z tem skończyć i strzykawkę zamknąć na klucz. Ale tu właśnie pokazuje się, co się święci: „nasz piękny zamiar jest poprostu niewykonalnym, po strzykawkę musimy sięgnąć znowu, i to z pośpiechem...“ Każdy nałóg przerwany sprawia męki, ale męki morfinowe są o wiele gwałtowniejsze i realniejsze: Przy alkoholu, nikotynie, pokusa jest natury psychicznej, jest to chęć, łatwiej sobie z nią poradzić wolą, o ile jeszcze nie została zdewastowana. Przy morfinie gorzej: Cały organizm został przez nią zaatakowany i kiedy zastrzyk zostaje odjęty, wszystkie centra nerwowe zachowują się tak, jakby otrzymały potężną dozę trucizny: w całem ciele czuje się okropny niepokój, jest się jakby pod jakiemś ogromnem ciśnieniem; płuca i serce szaleją, brak tchu, człowiek się dusi, przychodzą kurcze żołądka, bóle w stawach, krew tętni setkami na minutę, szał. Jedynym ratunkiem: wziąć morfinę... Tymczasem i gonitwa dawkami jest coraz szybsza, chwile lepszego samopoczucia po dawce coraz krótsze, w końcu paruminutowe zaledwie, a rozdrażnienie po nich coraz gorsze. Wspaniałość stanów początkowych dawno się skończyła, przychodzi kompletna apatja i jedynem, co jeszcze morfinomana porusza, co staje się jedyną jego racją bytu, jest rozpaczliwe poszukiwanie specyfiku. Nagłe przerwanie nałogu kończy się czasami katastrofalnie, śmiercią nieszczęśnika. A jak się go izoluje w zamkniętem sanatorjum, przeżywa tam piekło. Ale i alkohol, i nikotyna nawet, dają w pomniejszeniu podobne efekty, podobny tragizm. Alkohol okazuje się nudny. Świetny jest opis psychologiczny pijaka i jego nudy: bo alkohol ma swoje granice, jak każdy narkotyk, stąd niespokojne pragnienie zwiększenia dozy,—i po tej linji dochodzi się aż do dna, aż do „plugawego, tragicznego taplania się we własnem mieszkaniu“... Dołącza się megalomanja, manja „szczerości“, która jest w istocie zakłamaniem, psychopatyczna podejrzliwość, okrucieństwo; za pyszny, widać *con amore* odmalowany obrazek rodzajowy wójta w tym typie, zdegenerowanego pijaczyny-manjaka, będą Witkiewiczowi wdzięczni wszyscy w Polsce zwolennicy zdrowego samorządu gminnego. Ciekawe są uwagi o nikotynie; przedewszystkiem więc, jako malarz, stwierdza W., że poszerza ona, w dosłownem znaczeniu, świat; jako człowiek pracy umysłowej ma do zarzucenia papierosowi, że dzięki niemu, człowiek przyzwyczaja się do liczenia na coś, co nie w nim, ale poza nim się znajduje.

Tak, nie tylko hygienicznie, lecz i etycznie traktując narkotyki, dochodzi Witkiewicz do przekonania, że są one w istocie przeciwnikami sztuki, ale i filozofji i religji. Właśnie dlatego, że wszystkie one, i religja, i metafizyka, i sztuka — i wreszcie narkotyzowanie się płyną z tego, co Witkiewicz zwie „metafizycznem nienasyceniem“, a co wynika z samej istoty indywidualności: Siła Bytu, ograniczona przez warunki indywidualności, cierpi z tego powodu, prze indywidualność, tęskni i wyrywa się, szuka innych sfer rzeczywistości; więc o ile człowiek tego nienasycenia, tego niepokoju nie użyje jako energji do tamtych wyższych działań, lub jako energji do pracy, życia społecznego i t. p. — to zasyca je narkotykami. Ale narkotyki są kłamcami... Co więcej, narkotyki wyższe, metafizyczne są *sui generis* „świętokradcami, złodziejami“; oto co mówi jeden z autorów o eterze: zanarkotyzowany eterem skłaniał się do deizmu, ale na trzeźwo nic z tego nie zostawało; więc narkotyk „gwałci niejako sanktuarjum duszy; podobnie jak świętokradca rozbija święte naczynie i wyjmuje bezbronnego Boga... tak samo narkotyk zakrada się w głębie podświadomości, gdzie drzemią i rozwijają się jakieś myśli, jakieś stany, które dopiero znacznie później, gdy dojrzeją, mają wejść w naszą świadomość... Dzięki narkotykowi poznajemy własne głębie, ale nie we właściwej porze, drogą gwałtu. Sądzę, że działa to niszcząco na podświadomość i przedwcześnie odsłonięte, siły jej nie rozwiną się już nigdy tak harmonijnie, jakby to miało miejsce bez interwencji narkotyku“. (Nawiasem powiedziawszy, to co mówi o tem „świętokradztwie“, o tej metafizyce narkotyku, mogłoby świetnie służyć Słowackiemu za przykład, kiedy on tak potępia kradzione zdobycze ducha!). Z tych próbek czytelnik widzi, na jakim poziomie jest ta książka hygieniczna — i że jest to książka literacka. Dodajmy jeszcze to, co Witkiewicz pisze o peyotlu, królu narkotyków, któremu przypisuje zupełnie wyjątkowe i lecznicze znaczenie, — (rzeczy niesłychane, bajeczne, potworne, zdumiewające, zastanawiające!), dodajmy jeszcze, że w książce jest pamiętnik Witkiewicza z odzwyczajenia się od tytoniu, dodajmy jeszcze rubaszny, zawadjacki styl jego,—argumentację, która jest argumentacją dla ludzi twórczych umysłowo... To, że po latach będą mieć spuchniętą wątrobę, to jest „*ganz wurst und pomade*“ — nam ma „o mózg iść, nie o wątrobę“. Odmienną nieco jest apostrofa do pań palących: „A wy, baby— o rozum wam nie chodzi, tyle co nam, ale o piękną skórę, tak. Otóż wasze zamsze, aksamity, brzoskwinie i alabastry zmienicie na wyschnięte, brudne, pożółkłe szmaty. Może to wreszcie wam do rozumu przemówi, mimo że naogół macie go mniej, niż my!“... Czytelnik i piękna Czytelniczka—chyba godzą się ze mną, że jest to pierwsza książka abstynencka, która nie jest nudna.

Wreszcie podnieść należy dobre spolszczenie „*katzen jammer*'u“: Glątwą. Więc odtąd, zamiast mówić po wytrzeźwieniu: „mamy *katzen jammer*“, będzie się w Polsce mówić: My mamy glątwę, wy macie glątwę, oni mają glątwę itd.

Zakopane KAROL LUDWIK KONIŃSKI

NA WIDOWNI

Paradoks filosemityzmu. — Niedostojne lamenty.

ZDARZENIA ostatnich tygodni unaoczniły w sposób jaskrawy, jak zabawny jest, przy bliższem przyjrzeniu się, paradoks filosemityzmu. Uwydatniły, ile groteski zawierają pretensje żydów i ich obrońców, jak mało dostojnie dźwięczą ich lamenty i wyklinania.

Czemże bowiem, w istocie swej, jest filosemityzm? Tłumacząc etymologicznie, należałoby rzec: upodobaniem, rozmiłowaniem się w żydostwie. Nietrudno dokładniej opisać tego rodzaju zjawisko. Rozkochać się, upodobać sobie w jakimś przedmiocie, znaczy to przedewszystkiem: cenić go za to, czem jest, jakim jest i nie chcieć, żeby stać się miał czemkolwiek innem. Jeżeli radujemy się kwiatem róży, zachwyca nas, iż jest on różą, właśnie różą, rozkoszujemy się jej kształtem, barwą, zapachem. Nie marzymy o tem bynajmniej, żeby bukiet róż na naszym stole nagle zmienił się w pęczek rzodkiewek.

Filosemityzm (pozostaję przy poetyckiem porównaniu) oznaczałby więc również w pewnym sensie lubowanie się w odrębnych cechach żydostwa, w jego jakby kształcie, barwie duchowej, w jego swoistym zapachu. Jak często gusty, miałoby to, oczywiście, pierwiastek irracjonalny: *de gustibus non est disputandum*. Jedno wszakże nie ulega wątpliwości: czuć życzliwość dla jakiegoś narodu równoznaczne jest z pragnieniem, żeby zachował on swą indywidualność, jaknajsilniej zaakcentowaną, o mocno zarysowanym konturze, aby pozostał sobą, żył własnem życiem, nie tracąc znamion sobie właściwych i nie utożsamiając się z innemi.

Dbałość o to musi być szczególnie pieczołowita, gdy, jak w wypadku filosemityzmu, sympatja skierowana jest w stronę ludu, który żyje w rozproszeniu, w narodzie sobie obcym, jest mniejszością nieliczną w państwie, przez ów drugi naród stworzonem i rządzonem. Wówczas postulat wyodrębnienia, niedopuszczenia do zacierania granic, wsiąkania, czy roztapiania się w narodzie liczniejszym, staje się bezwzględnie obowiązującym nakazem.

Wytyczne programu układają się tedy całkiem wyraźnie: przedewszystkiem pilnować trzeba najskrupulatniej, żeby członkowie mniejszości nie wciągali się w wewnętrzne sprawy narodu, wśród którego mieszkają, w jego działania i w jego organizacje: polityczne, społeczne, kulturalne. Należy dążyć, by posiadali ambicję budowania cywilizacji na własny rachunek, nie wpadając w orbitę twórczości cudzej. Pożyteczne może być w tym względzie gromadzenie członków owej mniejszości w jakieś liczniejsze skupienia, naprzykład w specjalnie na ten cel wyznaczonych dzielnicach miast. Należy, przy pomocy odpowiedniego prawodawstwa, oddzielić ich od życia politycznego państwa, w którem znaleźli siedzibę, przeciwdziałać upodobnianiu się w dziedzinie towarzyskiej i obyczajowej. Najbardziej pedantycznie wypadłoby zastosować ten system izolacji w zakresie wychowania młodzieży.

Szczególnie ostro tępićby naturalnie należało wszelką dwuznaczność, niejasność w określaniu swej przynależności narodowej, ukrywanie swego pochodzenia przez przerabianie imion, nazwisk it.p.

I tu właśnie ujawnia się cała groteska filosemityzmu. Filosemici program taki piętnują jako... „żydożerczy". Obowiązek „filosemity", to w praktyce — nie zauważać w żydach ich żydostwa. Miłować semityzm — to wogóle nie spostrzegać jego istnienia. Przyjaciel żydostwa, to ten, który dąży, by zniknęło, co od innych społeczeństw je wyodrębnia.

Przywykliśmy uznawać za fakt dodatni odnoszenie się do Polaka jak do Polaka, podobnież Niemiec zadowolony jest, gdy uważają go za Niemca, Francuz za Francuza itd. „Filosemityzm", naodwrót, nakazuje traktować żyda w Niemczech jak Niemca, w Anglji jak Anglika, w Rzymie jak Rzymianina. Uroszczenia żydowskie pod tym względem, w nas, Europejczykach, przedewszystkiem budzą uczucie niesmaku, jako objaw braku narodowej godności.

Nie uważalibyśmy np. za złośliwość, gdyby jakiś Niemiec napisał, że Wit Stwosz, aczkolwiek przez znaczną część życia swego pracował w Norymberdze, był artystą-Polakiem, żydów natomiast wyprowadza z równowagi stwierdzenie, że p. Henryk Kuna, choć dla Wilna przygotowuje pomnik Mickiewicza, jest rzeźbiarzem żydowskim.

Polacy, w jakiemkolwiek państwie zamieszkali, nieuznaliby za krzywdę i szykanę, gdyby urzędy miejscowe przestrzegały pilnie zachowania pierwotnego, polskiego brzmienia ich nazwisk, gdyby nie pozwalały na ich rusyfikację, germanizację i t. p. Patrjoci niemieccy napewno nie byliby oburzeni, gdyby rząd faszystowski najsurowiej zakazał nadawania włoskich form imionom i nazwiskom Niemców, żyjących w Południowym Tyrolu. Spróbujmy wszakże nie tytułować p. Sterlinga — Mieczysławem, albo p. Hirszbanda — Napoleonem...

Nad wyraz komicznie wygląda też, z tego stanowiska, dyskusja, jaką dziś, podniesionym głosem, toczy żydostwo całego świata, przeciwstawiając się ruchowi hitlerowskiemu w Niemczech. Żydzi gniewni są nie o to bynajmniej, że przeszkodzono im rozwijać kulturę własną, żydowską, ale o to, że zrezygnowano z ich pomocy przy tworzeniu cywilizacji niemieckiej. Wypisują całe szpalty cyfr i nazwisk, by wykazać, jak ogromnie pomoc ta była wartościowa.

Tymczasem byt cywilizacyjny narodu, jak życie rodziny, ma w sobie coś z natury swej domowego, zamkniętego. Nie we wszystkich momentach życia rodzinnego wypada wyręczać się usłużnością przybysza zzewnątrz. I narzucanie się z takiemi usługami niema w sobie nic czcigodnego. Naród także musi strzec czystości swego ogniska, rodowodu swego historycznego dzieła. Musi być domem prywatnym, nie — publicznym.

Żydzi w Niemczech znaleźli się w położeniu „przyjaciela domu", wygonionego nagle w negliżu z alkowy przez powracającego do siebie gospodarza. I krzykliwie rozpoczynają z nim kłótnię, że przecież umiejętnie zastępowali go do ostatniej chwili we wszystkich jego czynnościach...

Nic dziwnego, że w takiej przygodzie dziejowej nawet cierpienie żydów nie przedstawia się zbyt szanownie, że tragizm jego jest jakiś niemajestatyczny, niekoturnowy, że ich przekleństwa i skargi mają patos tak mało dostojny, jak brzmienie okrzyku: *„aj waj!"* Im uroczystszym tonem okrzyk ten wznoszą, im bardziej posągowe przybierają przy nim pozy, tem lepsza zabawa dla przypatrujących się widowisku temu narodów.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

PROPAGANDA... Od szeregu lat jesteśmy świadkami naszych wysiłków propagandowych na terenie zagranicznym. Łoży się w to dużo pieniędzy. Utarła się tradycja roboty. I jakby instyktownie już, z pojęciem propagandy kojarzymy szereg innych pojęć. Najpierw pojęcie tandety. To narzuca się przedewszystkiem. Propagandowy afisz, książka, odczyt — to coś nieciekawego, nietyle przez stronniczość, ile przez tandetność formy albo treści. Znamy ten rodzaj afisza, zdaleka odstraszającego niesmacznemi barwami, te broszurki, zniechęcające samym papierem i czcionką, tych propagandowych mówców i delegatów, popisujących się dziwnym gestem i niegramatycznem słowem przed obcymi słuchaczami. — To jedna tylko strona. Niemniej bowiem ściśle — przyzna każdy, świadomy rzeczy — łączy się z pojęciem propagandy pojęcie żydostwa. Niema co rozwodzić się nad tym dobrze znanym tematem. W sferach dziś decydujących uznano, że Żydzi są szczególnie dobrym materjałem na propagandystów polskich. Mogą nie umieć po polsku, a także nie znać dobrze języków obcych: wtedy nadają się na korespondentów PAT-a. Mogą także budzić sensację rasowo żydowskim wyglądem, wtedy przeznaczeni są na dyplomatów przy Lidze, *attachés* prasowych i *conférencier*'ów. — Trzecie wreszcie pojęcie, nieodłączne od myśli o naszej propagandzie — to pojęcie kompromitacji. Bardzo ważne. Przyzwyczailiśmy się już do tego, że nasze poczynania propagandowe ośmieszają nas i kompromitują. Przyzwyczaili się już do tego także i światlejsi cudzoziemcy. Starają się, myśląc o nas, nie brać pod uwagę wysiłków naszej oficjalnej propagandy; nie brać pod uwagę jej działalności. Domyślają się, albo chcą pamiętać, że Polska jest inna.

PRZEJDŹMY DO PRZYKŁADÓW KONKRETNYCH. Ktokolwiek zdawał kiedy prawo kanoniczne u ks. prof. Grabowskiego na uniwersytecie warszawskim, zdumieć się przy tej okazji musiał, że studenci żydzi tak mało orjentują się w terminologji prawno-kościelnej. Piszący te słowa słyszał na własne uszy, jak taki izraelita wyjaśniał, że metropolita to prowincja. Ks. profesor niezmiernie pobłażliwie traktował te błędy mojżeszowych. Egzamin z prawa kanonicznego był dla żydów tylko formalnością. Ale Polaków pouczał, jak łatwe jest dla umysłu żydowskiego pomieszanie metropolity i metropolji; na jakie niespodziewane (a w gruncie rzeczy naturalne) przeszkody natrafia żyd, próbujący zrozumieć tradycję kulturalną narodów europejskich. Piszemy o tem w związku z artykułem korespondenta londyńskiego „Gazety Polskiej“, Florjana Sokołowa („Pod pręgierzem“, z 19.IV). Mamy tam przykład, jak niezrozumiały dla „zeuropeizowanego“ żyda jest wyraz „opactwo“. Gdy p. Sokołow, z galerji korespondentów asystostował przy niedawnej dyskusji w parlamencie angielskim nad hitleryzmem i rewizją traktatów, mniemał, że znajduje się w... opactwie. I nie zawahał się poinformować („polskiej“) „Gazety Polskiej“: „Istotnie, *régime* p. kanclerza Hitlera, znajdujący się pod pręgierzem szerokiej opinji publicznej na obu półkulach, potraktowany został odpowiednio i w opactwie Westminsteru“. „Niepodobna było spodziewać się tutaj jego innego przyjęcia“ — dodał p. Sokołow logicznie. „Tutaj“, w opactwie Westminsteru. Oto na jakie nonsensy narażeni są odbiorcy wiadomości o życiu polityczno-kuluralnem Europy, obsługiwani przez wynajętego przez półurzędowy polski dziennik żyda. Oto na jakie brednie i fałsze. Kto tak zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co znaczy „opactwo“, kto nie ma pojęcia o cywilizacji średniowiecznej, czy może wogóle informować o sprawach, obchodzących sumienie publiczne Europy? Dziwne są warunki, kiedy obcy analfabeta łamanym językiem europejskich pojęć uczy „półoficjalnie“ Polaków, że „...cywilizacja“ ginie, bo Niemcy relegują z życia swego żywioł żydowski. I obrzydliwe widowisko.

NAD WYRAZ NIEPRZYJEMNA w dzisiejszych warunkach jest ta izolacja Polski od Europy ścianką elementu żydowskiego, który przejął rolę pośrednika i informatora. Gdyby nie pp. Sokołów i Litauer, kto wie, czyby doszło do wysłania tylu depesz dziękczynnych do polityków angielskich, co oświadczyli, że nie poprą rewizji granic, dopóki rząd w Niemczech się nie zmieni, że nie może być mowy o oddaniu Polaków z Pomorza pod hitlerowską tyranję. Ta pełna poczucia odpowiedzialności zapowiedź, że oddani być mogą jedynie pod ojcowską opiekę niemieckich rządów demokratycznych wywołała natychmiastowy, łączny i harmonijny odruch mnóstwa organizacyj i działaczy sanacyjnych, — w wielu wypadkach przypuszczalnie na skutek niezrozumienia prawdziwych intencyj angielskich parlamentarzystów. Odezwał się więc dr. Henryk Gruber, prezes Polskiego Instytutu Współpracy z Zagranicą. Nie mógł opanować wdzięczności Mieczysław (Stieglitz) Scieżyński, przedstawiciel Syndykatu Dziennikarzy Warszawskich, ani Stefan Grostern, reprezentant Związku Dziennikarzy Rzplitej Polskiej. Wyrwali się natychmiast z dziękczynieniem Rafał Szereszewski i Abram Gepner, w imieniu Centrali Związku Kupców w Polsce. Wysłali depesze, „wyrażające uznanie ze strony społeczeństwa polskiego“, dr. Roman Górecki — w imieniu 550 tys. b. żołnierzy zgrupowanych w Polskiej Federacji Związków Obrońców Ojczyzny, oraz gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, prezes Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Pośpieszył telegrafować Legjon Młodych, oraz, co najdziwniejsze, Związek Obrony Kresów Zachodnich. Nie wiemy wprawdzie, jak depesze były sformułowane. Przypuszczalnie z wyrazami uznania łączyły zastrzeżenia, że nawet w razie zmiany rządu w Niemczech Pomorze powinno zostać polskie. Ale bądź co bądź, można przypuszczać, że do wysłania tych depesz nie doszłoby, gdyby społeczeństwo odrazu było poinformowane o prawdziwym sensie debaty w parlamencie westminsterskim. Że nie było, i że zostało najoczywiściej wprowadzone w błąd, to wina przedewszystkiem informatorów żydowskich, co zajęci robieniem rejwachu o los swych ziomków w Niemczech, zaniedbali dokładniej poinformować swoich polskich chlebodawców. Zresztą Mr. Josiah Wedgewood na widok stosu depesz dziękczynnych nie stał się gorliwszy w zapędach rewizyjnych. Nie stało się nic strasznego: jeśli nie liczyć ujmy dla godności narodowej. Bo nie wypadało zaganiać posłusznych organizacyj „społecznych“ do wylewnych podziękowań za to tylko, iż politycy angielscy dali do zrozumienia, że Polaków wcielać można tylko do humanitarnych Niemiec.

KOMUNIZM I NACJONALIZM W ROSJI SOWIECKIEJ

STOSUNEK inteligentnych kół naszej opinji do Rosji Sowieckiej, mimo bardzo żywej (niepozbawionej pewnego posmaku sensacji) ciekawości do wielkich eksperymentów gospodarczych „piatiletki", „Dnieprostroju" i t. d., cechuje naogół zbyt powierzchowne zainteresowanie stroną polityczną wielkiego zagadnienia rosyjskiego, z którem dzieje splotły nas silniej, niż jakikolwiek inny naród. Obfita i szybko rosnąca literatura o Sowietach ma też najczęściej charakter informacyj reporskich, jest poniekąd filmem, odtwarzającym nawet dosyć wiernie fizjognomję dzisiejszej Rosji, bez wniknięcia jednak w istotę jej ewolucji politycznej.

Zresztą, ośrodki rządzące tym olbrzymim krajem są z reguły szczelnie zasłonięte i niedostępne dla oczu podróżującego dziennikarza, który zazwyczaj, mimo pozornej swobody ruchów, otoczony jest niewidzialną pajęczyną wywiadu wszechobecnej — Cze-ka. Dlatego zasługuje na zanotowanie wydana niedawno w języku rosyjskim książka p. Dmitrjewskiego p. t. „Portrety sowieckie", gdyż zawiera ona, obok barwnych i żywo napisanych charakterystyk kierowniczych osobistości dzisiejszej Rosji (opartych, jak się zdaje, na znajomości wielu stosunków zakulisowych), również pewien syntetyczny pogląd na ewolucję polityczną dzisiejszej Rosji.

Autor, będący nacjonalistą rosyjskim o radykalnych poglądach społecznych, uwydatnia silnie objaw, że kierownicze koła sowieckie nie składają się już dziś głównie z czystych doktrynerów międzynarodówki, wypranych z wszelkiego myślenia kategorjami interesu narodowego, przeciwnie, psychologja ich, zwłaszcza żywiołów młodszych, pochodzących ze sfer ludowych, kształtuje się pod wpływem coraz to silniejszego prądu nacjonalistycznego, połączonego ze swoistym mistycyzmem rewolucyjnym. Jest to jakgdyby mesjanizm narodowo rosyjski, krystalizujący się dokoła doktryny komunizmu, mającej zresztą, jak to podkreślił niedawno znany filozof rosyjski Berdiajew — b. daleko sięgające w głąb korzenie w życiu duchowem i psychice Rosji przedwojennej (*vide* książka Berdiajewa p. t. „Rosyjska psychologja religijna, a ateizm komunistyczny"). W parze z tem idzie znamienny proces stopniowego odseparowywania żywiołów żydowskich od kierowniczych ośrodków partji komunistycznej.

Autor daje w tym kierunku sporo interesujących informacyj, oświetlających rzeczywisty podkład likwidacji t. zw. „trockizmu". Trocki był niewątpliwie centralną postacią, najwybitniejszym reprezentantem elementów semickich, dotąd jeszcze licznych i wpływowych w kołach sowieckich; dziś jednak, po upadku Trockiego, wpływy żydostwa międzynarodowego znacznie zmalały i wciąż maleją w polityce sowieckiej, co autor ilustruje na szeregu przykładów.

Ostrzega on również opinję Zachodu przed niedocenianiem sił i zdolności warstwy, rządzącej dzisiejszą Rosją. Trzeba sobie jasno uświadomić — pisze — „że u steru władzy w Rosji stoją dziś ludzie nieprzeciętni, tak zresztą zdarza się zazwyczaj w epoce rewolucji, która, poruszając szerokie warstwy społeczne, wydobywa na górę elementy najenergiczniejsze, najlepiej dostosowane do surowej walki o byt". Liczni z tych ludzi są wybitnymi działaczami nietylko doby dzisiejszej, lecz i w jutrzejszej Rosji będą budowniczymi jej mocarstwowej potęgi. Kto nie bierze pod uwagę tego potężnego, chociaż podświadomego prądu nacjonalizmu w dzisiejszej Rosji sowieckiej, nie może wyrobić sobie właściwego poglądu na dynamikę sił politycznych tego kraju. Zdaniem autora, dzisiejszy stalinowski system rządzenia, wybitnie autokratyczny, zrywa z politycznym systemem oligarchji, panującym doniedawna w państwie sowieckiem, stanowiąc etap przejściowy do swoistego cezaryzmu demokratycznego, o wyraźnem zabarwieniu nacjonalistycznem. Książka p. Dmitrjewskiego, ze względu na jej interesującą treść polityczną, wyróżnia się pośród literatury o Rosji, zalegającej dziś półki księgarskie i warta jest przeczytania.

STANISŁAW MIKLASZEWSKI

NAUKA I LITERATURA

DZIEJE OBYCZAJÓW W POLSCE

PO PRACACH Gołębiowskiego i Łozińskiego nielada postęp na polu historji obyczajowości polskiej stanowi potężny nietylko pod względem objętości, pięciusetstronicowy blisko tom „Dziejów obyczajów w dawnej Polsce" J. S. Bystronia (Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski, 1932).

„Życie polskie w dawnych wiekach" Łozińskiego, ta prawdziwa „Skarbniczka archeologji polskiej", imponuje skondensowanem bogactwem szczegółów obyczajowych. Dzieło Bystronia nietylko rozprowadza w łatwej i potoczystej narracji jego, ale też imponująco rozwija całą masą nowych szczegółów obraz dawnego życia polskiego, utrwalony przez Łozińskiego. Obraz ten stanie się tem pełniejszy, gdy ujrzymy zapowiedziany już drugi tom „Dziejów obyczajów", który ma objąć polską kulturę społeczną i techniczną na przestrzeni wieków XVI — XVII. Tom pierwszy wprowadza czytelnika w tło geograficzne i etnograficzne dawnej Polski, informuje o współmieszkańcach naszych obcego pochodzenia, a więc najszerzej z natury rzeczy o Żydach, potem Ormianach, Tatarach, Karaimach i Cyganach. Następują dwa wyczerpujące rozdziały, traktujące o stosunkach polskich z zagranicą łacińską i wschodnią. Przekrój stanowy społeczeństwa polskiego ukazano w sposób plastyczny i barwny, przedstawiono dość nieskomplikowaną wiedzę tego społeczeństwa, bogato natomiast rozwinięte jego życie religijne, kulturę szkolną i literacką. Medycyna staropolska zamyka całość dzieła.

Sam schemat dzieła wskazuje na wszechstronność ujęcia przedmiotu. Jednak i na tem słońcu widać pewne plamy. Wydaje się niesłusznem pominięcie przez autora w rozdziale „Kraj i ludzie" znaczenia Kielc jako ośrodka Swiętokrzyszczyzny; również brak wzmianki o Pińczowie i Rakowie, sławniejszych w Małopolsce nad wszelkie Radomie, Osieki i inne Waśniowy, o których mowa. Zastrzeżenia budzą luki w obrazie stosunków Polski z zagranicą łacińską, przynoszącym zresztą wiele nowych szczegółów, albo takich, na które dotychczas małą się zwracało uwagę (np. stosunki Polski z Hiszpanją). Słabo zaakcentowano znaczenie w stosunkach polsko - angielskich Jana Łaskiego, którego rola była tutaj znaczną, jak o tem informują studja w „Reformacji w Polsce" lub choćby Brückner w „Różnowiercach polskich".

Autor pobieżnie wspomina o roli dyssydentów polskich w stosunkach polsko - holenderskich, a rola ta była nieladajaką; ważniejszem od K. Arciszewskiego i jego służby holenderskiej zjawiskiem był zależny od Braci Polskich irenizm Grotiusa czy racjonalizm Spinozy (prace Chmaja). Stosunki

polsko - węgierskie zadzierzgnęły się nietylko pod wpływem dynastycznych i politycznych koneksyj Polski i Węgier, ale i pod wpływem wielkiej emigracji Polaków do Siedmiogrodu po wyroku sejmowym na arjan w r. 1660.

Za dotkliwie odczuwaną lukę uważam pominięcie obrazu stosunków Polski ze Szwajcarją. Elita intelektualna Polski humanistycznej w. XVI ściśle była uzależniona od Szwajcarów, i to nietylko pod względem ogólnokulturalnym, ale i religijnym i pedagogicznym. Wskazuje na to, między innemi, obfita korespondencja polsko - szwajcarska, zamieszczona w *Corpus Reformatorum* oraz w wydawnictwie Wotschkego *„Briefwechsel der Schweizer mit den Polen“*.

Co się tyczy rozdziału „Życie religijne“, wydaje się, że nie został on dociągnięty do współczesnego stanu nauki polskiej. Stanowczo po macoszemu — a jakże niesłusznie — potraktowany został antytrynitarski odłam naszego obozu reformacyjnego, który przecież w nauce w ostatnich dziesiątkach lat, wywołał duże zainteresowanie, (prace Brücknera, Kota, Chmaja i in.). To wyznanie, które odegrało w polskim ruchu umysłowym w. XVI, XVII tak wybitną rolę, wymagało szerszego i gruntowniejszego omówienia. Ocenę pedagogji jezuickiej uważać należałoby za wysoką, zważywszy głosy o niej tej miary uczonych, co Chrzanowski i Kot.

Są to usterki, które jednak nie kwestjonują głębokiej wartości dzieła całego, wprowadzającego czytelnika w sam środek mocno pulsującego życia staropolskiego, tej „szarej i barwnej przeciętności dni, cichego i zgiełkliwego życia wsi lub miasta, drobnych smętków i radości życia rodzinnego i towarzyskiego“. Trudno żądać, by zasadniczy obraz całego dzieła, owa szarzyzna, świadomie przez autora chwytana, budziła w czytelniku uczucie entuzjazmu dla siebie. Przeciętne życie staropolskie wydaje się nawet (choć autor broni się przez cały ciąg dzieła stwierdzić fakt wyraźnie), stać niżej przeciętnego poziomu codziennego życia naszych sąsiadów zachodnich. Trudno nie przyznać, że życie nasze, dość niesprawiedliwe w swym ustroju społecznym, dość dzikie nawet w pewnych objawach umysłowych i religijnych, dość niechlujne wreszcie w technice bytu codziennego (wystarczy wskazać reprodukcję rysunku Orłowskiego, odtwarzającego ulicę w Lublinie, „błotem brukowaną“, jak sam rysownik zaznacza, pełną najdrastyczniejszych szczegółów o posmaku wręcz paszkwilowym, i to gdzie, w trybunalskim grodzie!), niewesołe budzi refleksje. Przed pesymizmem broni znów kontemplacja wysokich cnót codziennego życia starej Polski, dochodzących do heroizmu w przeżyciach religijnych Polaka, prawie że nie do pomyślenia w dzisiejszem naszem życiu.

Całość dzieła czyni wrażenie „romansu życia, nieskłamanego w niczem“, a przemawiającego do czytelnika, jeśli ten zechce posłuchać rady autora i wezwie na pomoc własną wyobraźnię. Książka jest o wiele lepszą w tym względzie od wielu historycznych powieści, choć pretendować nie może do tego miana.

W zebraniu i wyzyskaniu materjału literackiego, pamiętnikarskiego, rękopiśmiennego nawet, w wykorzystaniu bogatego materjału graficznego widać tę benedyktyńską pracę, którą niedawno podziwialiśmy, w innym oczywiście zakresie, w bratniem dziele „Dziejów obyczajów“ — „Dziejach kultury polskiej“ Brücknera.

J. N.

ZE ŚWIATA NAUKI, LITERATURY I SZTUKI

Nagrodę muzyczną m. Warszawy przyznano w tym roku I g n a c e m u P a d e r e w s k i e m u. W ten sposób stolica złożyć postanowiła hołd wielkiemu muzykowi.

*

Tow. literatów i dziennikarzy w Warszawie przyznało tegoroczną nagrodę T-wa (2000 zł.) A. F. O s s e n d o w s k i e m u za dzieło „Lenin“.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W maju r. b., jak wiadomo, upływa 50 lat od śmierci C y p r j a n a N o r w i d a. Stało się według przeczucia poety, że wnuk go wspomni, obecnie bowiem ukazuje się szereg prac o Norwidzie. Czciciel najdawniejszy poety, Miriam (Przesmycki) wydał jego „Pisma wybrane“, dołączając w przypisach całe dzieło komentatorskie. Zofja Szmydtowa (Gąsiorowska) ogłosiła pracowite studjum „O misterjach C. Norwida“, Zygm. Falkowski w Wilnie ogłosił „Rzecz o tragiźmie Kleopatry C. N.“, Wład. Arcimowicz w Lublinie wydał studjum o „Assuncie C. Norwida“. Teraz oto ukazał nr. 3 (marzec) „R u c h u L i t e r a c k i e g o“, poświęcony Norwidowi. Znajdujemy w nim bibljografję pism Norwida, doskonale opracowaną przez Arcimowicza. Artykuł główny „Stanowisko N. w literaturze“ wyszedł z pod pióra znawcy i wielbiciela poety, prof. St. Cywińskiego, jego też są trzy recenzje. Charakterystykę Norwida opracowuje Z. W a s i l e w s k i, ale dotąd nie znalazł nakładcy.

*

B o g d a n S u c h o d o l s k i, znakomity badacz dziejów nowożytnej myśli polskiej, obdarzył nas nowem dziełem: „S t a n i s ł a w B r z o z o w s k i. Rozwój ideologji“. (Warsz. 1933. Z zasiłku Funduszu Kultury Nar. Skład gł. w „Naszej Księgarni“. Str. 287). Suchodolski zasłynie, jako badacz, z niezmiernej pracowitości i zdolności przedzierania się przez nieprzebyte gąszcze nieuporządkowanej literatury. Do najtrudniejszych chyba zadań należało przeczytanie c a ł e g o Brzozowskiego. Mało kto w Polsce zna wszystkie jego książki, cóż dopiero mówić o rozsianych po czasopismach drobnych pracach tego bardzo płodnego pisarza. Suchodolski wszystko to posiadł, usystematyzował, zanalizował i zestawił; odtworzył w ten sposób Brzozowskiego przez dokładny opis wszystkich zmian jego ideologji i naturę tych zmian wyjaśnił. W ten sposób historja piśmiennictwa ma już załatwioną jedną z ważnych pozycyj w tym tak bliskim, a jednak mało przejrzystym (z powodu wirów) okresie. Brzozowskiego etapy — dosyć wymienić tytuły rozdziałów dzieła Suchodolskiego — są następujące: 1. Próba indywidualizmu, 2. Idealistyczny pogląd na świat, 3. Przebudowa socjalizmu, 4. Konkretny realizm dziejowy, 5. Humanizm a religja. Pięć etapów, pięć wirów: Kant, Marks, Sorel, Bergson, Newman — oto filozoficzne wiry Brzozowskiego, a o zapatrywaniach jego społecznych dowiadujemy się od Suchodolskiego, w jaki sposób „radykalny indywidualista stał się surowym, bezwzględnym socjalistą, później jedyne źródło cywilizacji odnalazł w narodzie, a wreszcie przyszedł do bram kościoła“. Suchodolski potrafił wytłumaczyć umysł pisarza, zawsze wierny sobie w tych przemianach. Dzieło Suchodolskiego budzi podziw swoją gruntownością. Oczywiście będziemy o niem szerzej pisali.

*

Jeden z najwybitniejszych w młodem pokoleniu badaczy literatury, M i e c z y s ł a w P i s z c z k o w s k i, wydał we Lwowie tom I dzieła „Moraliści staropolscy“ (Książnica-Atlas. Str. 142). Zajął się w tym tomie głównie pismami Reja i Kochanowskiego. Rozdział pierwszy poświęcił zagadnieniu teoretycznemu pogranicza moralności i sztuki w świetle najnowszych na ten temat rozważań (głównie Ch. Lalo) oraz studjów F. Strowskiego o moralistach francuskich. Autor w historji poglądów estetyki polskiej na ten temat ograniczył się okresem najnowszym (nie dalej Brzozowskiego i Sobeskiego), dość ubogim w porównaniu z okresem środka XIX wieku, kiedy filozofji przyświecała myśl o harmonji prawdy, dobra i piękna. W najnowszym okresie (wszakże przed Młodą Polską) znaczną rolę w ruchu umysłowym polskim odgrywał M. Guyau. W Warszawie poczytnością cieszyła się książka Alfreda Fouillée „Moralność, sztuka i religja (według Guyau)“ w przekładzie J. K. Potockiego (1894. Wyd. „Głosu“). Młody ruch narodowy, poczynający się w „Głosie“, bardzo tem zagadnieniem się interesował. Bez wytworzenia jasnej myśli syntetycznej w tej dziedzinie nie wybrniemy z anarchji, która dziś panuje w sztuce i w pojęciach o jej stosunku do do moralności. Praca M. Piszczkowskiego, o której dajemy narazie tylko wzmiankę, zasługuje ze wszechmiar na bliższe poznanie.

*

Z cyklu wykładów, zorganizowanych przez oddział gdyński Instytutu Bałtyckiego, ukazał się w druku wykład prof. K a z i m i e r z a T y m i e n i e c k i e g o „Dziejowy stosunek Polaków do morza“, skład główny Kasa im. Mianowskiego w Warszawie. Autor rozpatruje przedmiot w szerokich ramach i perspektywach historycznych, przedstawiając słowiańską kulturę morską, związek na Bałtyku najdawniejszego żeglarstwa słowiańskiego z korsarstwem, rozległość morskiego władztwa Wenedów, Polan i Pomorzan, i dalej, za Mieszków i Bolesławów, aż do wyodrębnienia się dzielnic.

Z biegiem czasu niebezpieczeństwa od zewnątrz ze strony Krzyżaków i Brandenburczyków, przewrót gospodarczy w XIII wieku, stan handlu, era panowania Piastów i Jagiellonów, rozwój wywozu polskiego, rola w tem szlachty, znaczenie Gdańska i organizacja polskiej marynarki handlowej. Wszystko pod kątem widzenia polskich programów politycznych w średnich wiekach, w dobie rozbiorów i wreszcie obecny stosunek narodu do morza po odzyskaniu niepodległości. Rozprawa daje w każdem swem treściwem zdaniu bogactwo materjału w zakresie polityki książąt i królów polskich, cesarstwa niemieckiego, papiestwa i zakonu krzyżackiego, zaleca się obrazowością o charakterze wprost monumentalnym, a to dzięki połączeniu i pogłębieniu wielu różnych elementów, gospodarczych, militarnych, dyplomatycznych i religijnych, które żywioł polski w stosunku do morza umacniały i osłabiały, zbliżały i oddalały. „Bez Pomorza", — pisze Tymieniecki, — „państwo polskie Piastów pozostawało jak gdyby niedokończone. Wykonanie tego zadania zostało poważnie zagrożone w epoce następnej, gdy miejsce państwa mniej lub więcej jednolitego zajęła rzesza prawie samodzielnych księstw dzielnicowych. Zagrożenie dotyczyło przedewszystkiem Pomorza zachodniego, nadodrzańskiego i to w chwili, gdy związki gospodarcze zaczęły się właśnie zacieśniać, czego dowodem jest rozpowszechnienie się na wybrzeżu w ciągu XII wieku, monet i miar polskich." Podobnie ogarnia rozprawa całokształt naszej kwestji morskiej w przeszłości i wśród wydawnictw Instytutu Bałtyckiego zajmuje wybitne miejsce. (A. W.)

*

Pod brücknerowskim błędnym tytułem „Dawne wiersze ruskie" (!) znany pisarz wileński, Tadeusz Łopalewski wydał przekłady kilkunastu bylin rosyjskich, tak dobrze znanych każdemu pupilowi szkół rosyjskich. Przepiękne te epickie płody ludowe dziś dopiero Polak może ocenić i lubować się niemi, dziś, gdy właściwie na marne poszedł ten olbrzymi kapitał, który wraz ze znajomością języka, wkładała w dusze nasze kultura rosyjska, dla której, niestety, „wstydziliśmy się serce mieć", jak mówi Norwid, jakoże była ona nam udzielana przy akompanjamencie przymusu.

Przekładu bylin p. Ł. dokonał wierszem rymowanym, co niewątpliwie oddaliło tekst polski od oryginału, odebrało bowiem ową cechę „*goworenja*", nieodłączną od tych dzieł istoty, no i wygładziło je niepotrzebnie. Także i o wybór można się nieco spierać z tłumaczem. Krzywda się np. stała Dobryni, największemu po Muromcu bohaterowi, że jego wogóle niema w tej księdze przekładów, a np. co za fantazja bije z tej byliny, gdy Dobrynia spotyka w stepie na koniu słowiańską amazonkę „polemicę przeudałą", Nastazję Mikuliczną. Trzy razy z konia z rozpędu uderza ją Dobrynia pałą po głowie; dopiero za trzecim razem ona się odwraca i mówi z flegmą:

Ja dumała: komariki pokusywajut,
Asz to russkije bogatyri poszczołkiwajut.

Jednak zważywszy wielkie trudności, które nastręczał przekład, trzeba przyklasnąć p. Ł. i wyrazić życzenie, by za tym pierwszym tomem poszły i inne tłumaczenia z rosyjskiego, ot, np. Niekrasawa wspaniały poemat „*Komu na Rusi żiwiotsa choroszo?*" Tylko chciałoby się nieśmiało wyrazić radę: niech p. Ł. nie śpieszy z robotą i każdą rzecz przyhołubi, zżyje się z nią i odchucha, aż każde słowo pięknością szczeroty ucieszy serce, rozraduje oczy. (S. C.)

*

Uczestnik powstania 1863 r., niedawno zmarły ś. p. Juljan Adolf Swięcicki, był całe życie romantykiem, wbrew epoce pozytywizmu, w której mu żyć wypadło. Tą też, niedzisiejszą nutą brzmią jego „Poezje", które wyszły teraz staraniem rodziny w pośmiertnem wydaniu. Entuzjazm, szlachetny patos, dydaktyzm, a przedewszystkiem miłość Ojczyzny, cechują ten zbiorek, który piękną a treściwą przedmową poprzedził p. Antoni Bogusławski. (A. L.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

NA KWIETNIOWEJ WYSTAWIE w Zachęcie niemal wszystkie sale zajęto pojedyńczemi dziełami rozmaitych malarzy, przeważnie stałych i dobrze już nam znanych dostawców instytucji z placu Małachowskiego. Ze zbiorowym pokazem prac wystąpiła tylko p. Teodorowicz-Karpowska i z kolekcją akwarel, Stanisław Śliwiński.

Utwory p. Teodorowicz-Karpowskiej składają się z rysunków, akwarel i obrazów olejnych, a ze względu na rodzaj prac, można je podzielić na studja głów i krajobrazów, portrety i kompozycje rodzajowe. Rysunki, zwłaszcza sangwinowe, ujęciem i techniką przypominają szkołę Ślendzińskiego. Notatki pejzażowe akwarelą, nieraz zalecają się swobodą i werwą, której nie ma znowu wiele prac innych, pośredniej wielkości. W kompozycjach rodzajowych, artystka rezygnuje z syntetycznego podkreślania plastyczności bryły, ograniczając się do poprawnego rysunku. Koloryt tych dzieł — niewyszukany, lecz miły i jasny. Portret ojca malarki, księdza-protoprezbitora Teodorowicza, należy do prac największych, a zarazem najlepszych. Najbardziej może pogłębiony malarsko, wyzyskuje szczęśliwie dekoracyjność szat kościelnych (prawosławnych) i malowniczość trafnie dobranego tła.

Wszystkie te prace, dość różnorodne, nieraz nie bez poważnych zalet, nie ujawniają jednak w sposób wyrazisty i zdecydowany oblicza artystycznego ich autorki i obejrzawszy to wszystko nie wiemy jeszcze, gdzie leży sedno zainteresowań malarki.

Akwarele St. Śliwińskiego — przeważnie motywy całkiem, lub napół-architektoniczne — mają dużo smaku. Artysta w widokach włoskich, lub z rodzimego Kazimierza, daje zestawienia kolorystyczne szlachetne, czasem stonowane także przy pomocy użytego papieru, barwy szarawej, nie białej. Podkreślając nieraz rysunek, nawet ołówkiem, Śliwiński nie uplastycznia bryły, dając raczej zarysy płaszczyzn. Jest tu sporo dekoracyjnych uogólnień i niejednokrotnie interpretacja (w rozkładzie planu) o dość już luźnym związku z naturą.

Zbiór „typów ludowych" J. Pieniążka, może posłużyć za przykład konserwatywnego dyletantyzmu i jeśli niektóre prace mają nieco anemicznego wdzięku, to właśnie, gdy z tej strony się do nich podejdzie.

WIKTOR PODOSKI

FILM

APOLLO: „Pod Twoją Obronę".

Filmy nasze nierzadko psuje pretensjonalność i zanik tej wady właśnie można uważać za jedną z dodatnich cech filmu religijnego „Pod Twoją Obronę". Dotychczas jakże często bowiem, rodzime twory X-tej Muzy pragnęły uchodzić za coś innego, niż to, czem były w istocie. Ponuro sklecona historja pozowała na „głęboki" dramat, usiłując napróżno wykrzesać z nas wzruszenie, płaska farsa udawała, że jest komedją, grymasem szarży zastępując dowcip.

„Pod Twoją Obronę" nie zamierza umieścić się o rangę wyżej od swej rzeczywistej wartości. Prosta historja, w toku opowieści pieczołowicie doglądana przez reżyserję, nie chce być niczem więcej tylko sobą, to znaczy zwykłem wydarzeniem, realistycznie odmalowanem. Ten realizm, łącznie z umiarem i powściągliwością w upiększaniu tego, co już samo przez się w życiu może być piękne, nabiera zwłaszcza wagi w scenach końcowych filmu, odtwarzających uroczystości na Jasnej Górze i cudowne uzdrowienie lotnika (Brodzisz), który po katastrofie lotniczej utracił władzę w nogach. Dobre jest to, że z piękna rzeczywistości (drogiej nam) nic tu nie zatracono. Fotografowano ją poprostu, reżyserji pozostawiając dozowanie poszczególnych obrazów, oraz ich montaż.

W całym filmie niema nic irytującego (to już *plus* u nas), dobra robota reżyserji polega raczej nie na efektach formalnych, a na niezłem zbudowaniu całości (umiejętne rozplanowanie poszczególnych partyj). Aktorzy trzymani w ryzach, nawet do Marji Bogdy poczynamy nabierać zaufania, tylko Brodzisz pozostał drewniany. Walter — świetny przedstawiciel humoru w filmie i jego okrasa, najbardziej niefrasobliwie poczyna sobie przed objektywem i mikrofonem.

I wszystko niemal byłoby dobrze, gdyby nie to, że ten pierwszy polski film religijny reżyserował... Żyd, p. Lejtes. Pisząc o tem, nie mamy bynajmniej zamiaru zajmować stanowiska antysemity. Wiemy, że pan Lejtes uważany jest za jednego ze zdolniejszych i najinteligentniejszych reżyserów żydowskich. Pomyślmy jednak... Każdy człowiek, naród każdy ma swoje świętości. Ma tereny dóbr wewnętrznych, z któremi jest tak nierozłącznie zrośnięty, iż ten, kto na nie przygodnie przybywa, gościem jest tylko, jakby podróżnikiem, zwiedzającym egzotyczne dlań kraje. To może być nawet dla niego frapujące, ale na zawsze pozostanie egzotyką, tak jak i on, ze swej strony, jest na tym terenie gościem egzotycznym. Nic na to nie pomogą jego inteligencja i takt (artystyczny). Nas, z pewnych względów, mogłoby nawet interesować, jak inteligent żydowski wyobraża sobie katolicyzm w jego życiowych przejawach, ale takie stawianie kwestji byłoby oczywiście naświetlaniem poglądów żydowskich, a nie naszej religji.

Że nie wszystko tu jest w porządku, zdawali sobie sprawę także inicjatorzy naszego filmu religijnego, pracę Lejtesa pokrywając nazwiskiem Puchalskiego, jako reżysera. Nie dziwimy się Lejtesowi: dostał obstalunek na film religijny, no, więc i tego jeszcze popróbował. Trudno natomiast pogodzić się nam ze stanowiskiem tych sfer duchowieństwa, które powagą swego imienia aprobowały podobny pomysł.

KANDYD

P. S. Zdjęcia wyraziste. Udźwiękowienie techniczne bez zarzutu. Muzyka Maklakiewicza.

ZMARLI

Ś. P. ALFONS PARCZEWSKI

ZMARŁY obecnie w Wilnie profesor uniwersytetu miejscowego, ś. p. Alfons Parczewski należał do najstarszych i bardzo zasłużonych pracowników na niwie narodowej. Urodzony 15.XI 1849 r. w majątku rodzinnym Wodzierady, ziemi Kaliskiej, kończył ś. p. Alfons Parczewski gimnazjum w Kaliszu, a następnie wydział prawny Szkoły Głównej w Warszawie. W 1872 r. mianowany patronem przy trybunale cywilnym w Kaliszu, w roku zaś 1876 adwokatem przysięgłym.

Rozwinął wtedy na terenie Kalisza niestrudzoną działalność społeczną, naukową, a następnie polityczną, która trwa aż do wybuchu wojny światowej i zbombardowania miasta przez wojska niemieckie.

Był nietylko założycielem, lecz duszą całego szeregu organizacyj dobroczynnych, gospodarczych i naukowych. Wielką jego zasługą było pionierstwo polskiego ruchu narodowego w zaborze pruskim.

W r. 1884 założył we Wrocławiu tygodnik „Nowiny Codzienne", które sam redaguje w Kaliszu, wysyłając następnie opracowany materjał do Wrocławia, do drukarni. Dotarł na Pomorze i tam budzi ruch narodowy wśród Kaszubów.

Ś. p. Parczewski, jako ideowy badacz słowiańszczyzny, zainteresował się także losem Serbów łużyckich, którzy w morzu niemieckiem potrafili bronić swego języka i tradycyj narodowych. Pragnąc przyjść z pomocą pobratymczemu szczepowi, zakłada dla Serbów łużyckich T-wo Pomocy Naukowej, a następnie przy serbskiej Macierzy oddział dla dolnych Łużyc. Odtąd mają w osobie ś. p. Alfonsa Parczewskiego Serbowie Łużyccy stałego opiekuna i przyjaciela, dbającego o ich potrzeby kulturalne i materjalne.

Gdy po 1905 r. następuje okres względnych swobód, rozpoczyna ś. p. Alfons Parczewski ożywioną działalność polityczną, za którą zostaje aresztowany i zmuszony do wyjazdu zagranicę, skąd powraca po wyborach do Dumy i odtąd z ramienia Ziemi Kaliskiej piastuje mandat poselski do wszystkich Dum następnych, wchodząc do stronnictwa narodowo-demokratycznego.

Na terenie Dumy dał się poznać jako niestrudzony pracownik licznych komisyj, a w szczególności wsławił się obroną sprawy Chełmszczyzny.

W okresie okupacji niemieckiej brał czynny udział przy orgarnizowaniu Uniwersytetu Warszawskiego, jako pierwszy dziekan wydziału prawnego.

Do Wilna przybył w 1919 r., ale już przedtem 1918 r., wraz z ś. p. prof. Ziemackim i prof. Władyczką, zakrzątnął się dookoła sprawy wskrzeszenia zamkniętej przez władze rosyjskie w 1832 r. Wszechnicy Batorowej.

W roku 1922 został powołany na stanowisko Rektora uniwersytetu. Godność tę piastował przez dwie kadencje, wkładając, jak zawsze, całą duszę i całe swe siły w pracę dla dobra uczelni. To też, gdy w roku 1930, mając skończonych 80 lat, opuszczał katedrę, Uniwersytet Wileński obdarzył go najwyższą godnością, jaką rozporządza — doktoratem honorowym, pragnąc w ten sposób uczcić jego wielką pracę i niepospolite zasługi.

S. p. Parczewski był bratem młodszej od siebie o rok Melanji Parczewskiej, zmarłej w Kaliszu w sierpniu 1920 r.

Pracę narodową na Śląsku, Pomorzu i w Łużycach prowadzili razem. W jej życiorysie, ogłoszonym w I t. „Pism" (Wilno 1929), pióra B. Lutomskiego, znaleźć można interesujące szczegóły o ich pożytecznej działalności.

S. P. JÓZEF JERZY BOGUSKI

ZMARŁ w Warszawie, powszechnie ceniony jako człowiek, zasłużony uczony, nestor chemików polskich — śp. Józef Jerzy Boguski. Żył lat 80, a do końca życia zdumiewał rzeźkością ciała i umysłu.

Urodzony w Warszawie 7 września 1853 r., tutaj też się kształcił. Uniwersytet warszawski ukończył 1875 r., poczem udał się do słynnej pracowni chemicznej Mendelejewa w Petersburgu, gdzie zajął się w szczególności pracami nad fizycznem zachowaniem się gazów. W początkach r. 1876 ukazała się pierwsza praca naukowa prof. Boguskiego „O ketonie dwubromobenzylowym", pod koniec zaś tego roku (równocześnie w polskim „Kosmosie" oraz w rocznikach chemicznych niemieckiego i rosyjskiego Towarzystwa chemicznego) — epokowa praca o szybkości procesów rozpuszczania. Była to pierwsza wogóle praca naukowa na ten temat i zapewniła ś. p. prof. Boguskiemu trwałe imię w nauce.

Do Warszawy powrócił 1878 r. i tu wiele pracował jako pedagog, nie mogąc wskutek warunków politycznych zająć katedry. W r. 1887 jego staraniem powstała pracownia fizyczna przy Muzeum przem. i roln., która stała sie ośrodkiem naukowem. Tutaj pracowała Curie-Skłodowska. W r. 1895 prof. Boguski objął wykłady chemji w szkole Wawelberga; w roku zaś 1900 powierzono mu wykłady „zlecone" technologji chemicznej w politechnice warszawskiej.

W r. 1918 zajął stanowisko kierownika centrali badań laboratoryjnych Instytutu badań artyleryjskich przy min. spraw wojskowych. W tym czasie dokonał szeregu odkryć materjałów wybuchowych. W r. 1920 politechnika warszawska powołała go na profesora honorowego, powierzając katedrę technologji materjałów wybuchowych.

W r. 1926 prof. Boguski obchodził 50-lecie działalności naukowej, wówczas też przyznany mu został stopień doktora fil. h. c. uniwersytetu Jagiellońskiego i stopień dr. chemji h. c. politechniki warszawskiej.

NOWE KSIĄŻKI

Eminescu Michail. Wybór poezyj i poematów. Przekład Emila Zegadłowicza.Warsz. 1933. F. Hoesick.

Brończyk Kazimierz. Król Stefan. Dramat w 5 aktach. Lwów 1933. Skład gł. w Książnicy Atlas.

Schimmel Jerzy. Miejska renta gruntowa. Studjum ekonomiczno-urbanistyczne. Poznań 1933. Dom Książki Polskiej. Str. 171.

Jaroń Jan Nikodem. Wojsko św. Jadwigi. Pięć obrazków scenicznych z dziejów śląskich. Katowice 1931. Śląski Związek Akad.

Jaroń Jan Nik. Z pamiętnika Górnoślązaka oraz inne wiersze liryczne. Przygotował do druku i wstępem opatrzył Winc. Ogrodziński. Katowice 1932. Nakładem Tow. Przyjaciół nauk na Śląsku.

Ruch Literacki, nr. 1—2 za r. 1933. Warsz. Geb. i Wolff.

Łakomy Ludwik dr. Inżynier Józef Kiedroń. Ideał współczesnego Polaka. Katowice 1933. St. Święcki i sp. w Dąbrowie Górn. Str. 110 (z portretem).

Przegląd Powszechny, marzec 1933.

Brandstaetter Roman. Tragedja Juljana Klaczki Warsz. 1933. Odb. z „Mies. Żydowskiego"

Strzałkowski Wiesław. Poezje. Warsz. 1933. Skład gł. w wyd. „Biblj. Polska".

Święcicki Jul. Adolf. Poezje. Warsz. 1933. Skład gł. u Geb. i Wolffa.

Berent Wacław. Pisma, t. IV i V. Ozimina. 2 tomy. Gebethner i Wolff.

Koterba-Dziuban Zenon. Tańczący w sadzie. (Poezje). Kraków 1933. Nakładem Krak. Klubu Literatów.

Bazylika Wileńska. Wilno 1933. Wyd. Komitetu ratowania (St. Cywiński).

Wroński-Hoene Józef. Prawo tworzenia. Spolszczył Cz. Jastrzębiec Kozłowski. Warsz. 1933. Bibl. „Zet". S. 32.

OFENSYWA

GHETTO CONTRA GOETHE

NIEJAKI Theilhaber, dr. Feliks Theilhaber, seksuolog, freudysta, uczony, w gruncie rzeczy kryminaloid, grzebiący się w fekaljach, napisał raz w swojem „studjum" o psychopatji żydowskiej:

„Neue Judische Monatshefte" nr. 19.

20 *Juli* 1919.

Co następuje: „Żaden naród świata nie ma tylu psychopatów, samobójców, chorych i wenerycznie infekowanych. Nikt też nie zna wysokiej liczby w nim jednostek, wypełniających sobie życie surogatami miłości"...

I w tym sensie dalej.

Okazuje się teraz, że ten sam „uczony" badacz miał czelność napisać studjum o Goethem ze stanowiska psychoanalizy freudowskiej. Zamiast takie zuchwałe przedsięwzięcie Theilhabera zataić, niebacznie referuje o niem literat Kanfer z Kapellnerowa (dawniej Kraków, nad Wisłą). Całkiem podobnie wałęsające się po miastach kundlasy szkaradzą cokoły pomników, nie zdając sobie sprawy, że, choć psiaki z rodu, jednak zachowują się po świńsku.

Z książki tego Theilhabera, dziś prawdopodobnie przepędzonego z Niemiec do wszystkich djabłów, wynika ni mniej, ni więcej, tylko to, że Goethe był właściwie urodzonym zbrodniarzem, a jedynie dzięki przypadkowemu składowi szczęśliwych okoliczności został genjuszem poetyckim. Wszystkie dane atoli miał po temu. „Nie bez kozery przetłumaczył biografję złodziejaszka Benvenuta Celliniego" (*sic*). Nie bez kozery zajmował się awanturnikiem Cagliostrem (*sic*). Miał w sobie Goethe wszelkie dane na „hochstaplera" (*sic!*), („hochstapler", to jest galicyjski termin dla określenia *„chevalier d'industrie"*, okpiświat, *„Luftmensch"*, ptak niebieski). Goethe był urodzonym „amoralistą" (*sic*). Goethe miał popędy kazirodcze (dowody w *„Stella"* i w *„Geschwister"*) i wogóle „nieopanowane popędy erotyczne". Goethe był: zboczeniec... Goethe był fetyszystą erotycznym, bo „prosił kochane kobiety o przesłanie mu części ich garderoby". I t. p.

Do takich i tym podobnych rezultatów doszedł freudysta, seksuolog, dr. Feliks Theilhaber na podstawie badań „osadu anormalności w twórcy Fausta"...

Czy teraz można się dziwić rozgniewanym swastykałom, że ścigają i tępią bandy tych, tyle lat bezkarnie panoszących się judeprawotorów, odgrywających w Rzeszy niemieckiej taką samą rolę, jak *gangstery* w Ameryce? No, i że teutony znów zachowują się jak te Hunny? Jak by to zachowały się Angliki, wpakowane do takiego worka z pluskwami i wszarstwem? te Angliki, które nie po chrześcijańsku, nie humanitarnie traktowały całe wieki: Irlandczyków, Egipcjan, Boerów, Hindusów, Muzułmanów, ...Kopenhagę? ...Peiking? i... Napoleona?

Jakby to reagowały panowie z *„Isle of Dogs"*, gdyby im taka przybłędna szelma jedna z drugą pisały kolejno psychoanalityczne konterfekty... królowej Wiktorji... Cromwella... Miltona, Szekspira, Dickensa, Gladstone'a? Jakżeby to pięknie wyboksowano potem *fratzę* (po galicyjsku, po polsku: oblicze) takiego doktora Theilhabera? jakim to kopniakiem by go strącono ze schodów *„British Museum"*? Tymczasem w Niemczech dr. Theilhaber miał o swem „dziele" zapewne z tysiąc recenzyj i poczęto go zaliczać do Goethelogów.

Pytanie teraz nastręcza się, co kierowało rozmaitymi żydasami do pisania takich zbezczeszczań i splugawiań różnych wielkości europejskich?

Dlaczego dopatrywali się perwersyjnych „kompleksów" w żywotach wielkich Europejczyków, z rykiem radości wydobywając z ukrycia wszystkie Deublówny, węszyli za małostkami Dostojewskiego i Tołstoja, badali naukowo, czy Dante nie był jednak pederastą, V. Hugo alkoholikiem, ...d'Annunzio wprost żydem (Rapaport)?

Odpowiedź jasna: chodziło o pomniejszenie wszystkich wielkich Literatury i Sztuki aryjskiej na to, aby na tle pomniejszonych, skarlonych, splugawionych i zbezczeszczonych Europejczyków, wyolbrzymały takie firmy Izraela, jak: Proust, Maurois, Kessel, Erenburg, jak Ludwig, Wasserman, Kellerman, Klabund, Mayrinck, jeden Zweig, drugi Zweig, Panait Istrati, Halévy, Benda i dwa tysiące innych światoborczych a światowładnych obrzezków. Do roku 1933 trwała dla nich *hausse*, a teraz idzie *baisse*.

Drugie pytanie z kolei: dlaczego Ghetto rzuciło się specjalnie w tym wypadku na Goethego? Dlaczego najpierw na Wagnera, a potem na Goethego?

A bo okazało się z okazji niedawno obchodzonej rocznicy Goethowskiej..., wydobyto na wierzch, że i Goethe nietylko nie był prosemitą, jak semicka fama konwencjonalna niosła, ale wprost przeciwnie, kilka razy wypowiedział się jak skończony antysemitnik, pogromczyk, Hitlernik i „niekulturalny" „barbarzyńca".

Wyciągnięto tedy ostro i agresywnie antysemickie poglądy z Eckermanna: *„Gespräche mit Goethe"* (*Band* II. *S.* 16. *Reclam*). Następnie rozmowy z Goethem kanclerza Fr. v. Müllera i rozmowy z Goethem Woldemara v. Biedermana. Następnie z korespondencji Goethego *„Briefwechsel mit einem Kinde"* (wydanie Betting v. Arnim) oraz listy do Jakobiego. Wydobyto na jaw całą akcję Goethego przeciw tajnemu radcy finansowemu, Izraelowi Jacobsohnowi (r. 1808) i przeciw emancypacji żydów (Mendelsohnowi).

Poczem z Goethego: *„Wilhelm Meisters Wanderjahren"* (2 tom, 2 i 3 rozdział) wyciągnięto takie poglądy Goethego na żydostwo:

„Naród żydowski jak mu to zresztą tysiąc razy wypominali jego wodzowie, prorocy, sędziowie, nie był nigdy pełnowartościowym narodem (*„hat niemals viel getaugt"*) i posiadał niewiele przymiotów narodów innych, a wszystkie ich wady"...

„...Co mam zresztą powiedzieć o tym narodzie, który przedewszystkiem przyswoił sobie błogosławioną, ustawiczną wędrówkę, aby przez swoją czynną ruchliwość przechytrzać (*„überlisten"*), tych co są w spokoju, a współwędrujących przeganiać?...

„...W tym sensie, który możnaby nazwać pedantycznym, ale który jednak jest konsekwentnym, nie mamy żadnych żydów znosić wśród siebie, gdyż jakbyśmy mogli obdarzać ich współudziałem w najwyższej kulturze (chrześcijańskiej religji), której źródła i początki oni właśnie negują?".

Najważniejszy atoli ustęp Goethego w kwestji żydowskiej znajduje się w młodocianym dramacie: „Jarmark w Plundersweilern", gdzie Haman biblijny mówi do króla Ahasverosa:

„Es ist ein jeglicher in deinem ganzen Land
Auf ein und andere Art mit Israel verwandt
Um dieser schleue Volk sieht einem Weg mir offen
So lang die Ordnung steht, so lang hat's nichts zu hoffen [1]).

Ten to ustęp, dziś najbardziej aktualny, poucza, jak ten „chytry naród" wszelkie nadzieje swych zwycięstw i sukcesów światowych może pokładać w dekompozycji i w destrukcji. To wypowiedzenie się Goethego najbardziej ubodło i zabolało żydostwo. To też zapominając nawet o tem, że Goethe sympatyzował z hebrajszczyzną, że napisał recenzję o poezjach żydka polskiego i że jednak nie wystąpił przeciw żydom tak gwałtownie, jak Ryszard Wagner, postanowili mimo wszystko zemścić się. Nie potrafiliby zasnąć spokojnie, gdyby się nie zemścili.

I stąd to odbronzowywanie Goethego metodą freudowską. Stąd dzieła naukowe *„cette canaille de T."*. No i potem się dziwić, że Bosze chcą palić na stosach taką „literaturę", a jej „twórców" przepędzają do wszystkich djabłów, gdzie pieprz rośnie.

ADOLF NOWACZYŃSKI

---

[1]) W wolnem tłumaczeniu:

„Każdy na ziemi Twej, zamkniętej granicami,
W ten albo inny sposób spokrewiał się z żydami,
Chytry zaś naród ten ma jeden cel nie mylny.
Póki jest w kraju ład, póty jest żyd bezsilny".

NA MARGINESIE

Poeta śpiewa:

„...Ale już czuję na mojej dłoni
Ostatni uścisk Joanny D'Arc,
Na ustach stygnie ciepło jej ust,
Co we mnie drżeniem niezbędnem(?) pała,
Więc rośnie we mnie gorycz jej ciała
I gwiazdy spadłej srebrzysty plusk..."

Czyjże to świętokradczy śpiew o „ciepłym i zdrożnem ciele" Joanny D'Arc? Tak się popisuje przed żydówkami p. Brandstaetter (zbiorek wydany u F. Hoesicka).

Można powątpiewać, czy poeta rzeczony zdolny jest zrozumieć, dlaczego społeczeństwa chrześcijańskie poezji takiej, przez żydów produkowanej, nie lubią; wywołuje ona, jakby echem przytoczonego wiersza: „ręki spadłej siarczysty plusk".

A żydzi potem się skarżą przed Ligą Narodów.



TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.